

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 6. Warszawa, dnia 29 Stycznia (10 Lutego) 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu		na prow. w Cesar. i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie	„ 3 „ „	półrocznie	rs. 4 k. —
kwartalnie	„ 1 „ 50	kwartalnie	rs. 2 k. —
miesięcznie	„ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.	

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, St.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

Departament Niższej Sekwany.

Z głuchej prowincyi wracam panowie!
Gdyby nie zwykłe życia kłopoty,
Gdyby nie nasze, w ścisłej rozmowie,
Gościńce, groble, mosty i płoty,
Gdyby nie bieda w znaczeniu całem,
Co krok żyd brudny, lub chłop pijany,
Mógłbym powiedzieć, że przyjechałem
Z departamentu Niższej Sekwany.

Bo gdzie nie potknę, słyszeć się daje
Język francuski ściśle paryski.
Pani sędzina swą córkę łaje:
„*Anne! ne regarde pas le jeune Pipiski!*“
Pani Owsicka, komu się śniło,
Krzyczy na męża: „Janie kochany!
Que fait Bartłomiej? *Où est* Hawryło?“
Wciąż departament Niższej Sekwany!

Poważna pani Prątkiewiczowa
Powiada do mnie w jedną niedzielę:
„Gdzie się pan od nas ciągle tak chowa
Venez ah venez donc à les Kurzele!“
Ja się tłómaczę mową i gestem,
Cytuję ważne jakieś zajęcie,
„*Cessez ah cessez!*“ — i znowu jestem
W Niższej Sekwany departamencie.

Panny toż samo, zdaje się żadna
Po polsku nawet mówić nie umie;
Chyba pochwalić że która ładna
To i po persku każda zrozumie.
W długie rozmowy rzadko się wdają,
Lecz za to słychać w każdym momencie
Oui, non, vraiment, tak jak gadają
W Niższej Sekwany departamencie.

Panna Pelagia, panna Agnieszka
Jeżeli tylko o modach mowa
Nigdy uprzedzić cię nieomieszka:
„*Qu'on trouvent ceci chez* Markusowa.“
Albo: „*que* Jankiel ma w swoim kramie
Un choi d'etoffe ślicznie dobrany,“
I wierzyć musisz tej modnej damie
Z departamentu Niższej Sekwany.

Prócz z ekonomem albo z lokajem
Pan Piotr po polsku nie gada z nikim,
Z żoną i dziećmi modnym zwyczajem
Zawsze francuzem jest lub anglikiem.
Prawiąc o wszystkiem dość niedorzecznie
Wciąż francuzczyznę trzepie zawzięcie
I w jego domu czujesz się wiecznie
W Niższej Sekwany departamencie.

Gdzie cudzoziemców liczą kopami
Język francuski kwitnie — choć przecie
I to porządnie nudzi czasami;
Lecz cóż o takich dziurach powiecie
Gdzie francuz nigdy nie był widziany
I które pragną uchodzić w świecie
Za departament Niższej Sekwany?!

A. B.

SZKIC MYŚLI

o zapisie ś. p.

STANISŁAWA STASZICA.

„Wiedział Staszic, że przyczyną ubóstwa nie zawsze bywa: choroba, kalectwo, lenistwo lub złe nałogi. Musiał spotykać indywidua szukające pracy, którejby może (przed ostatecznem wyczerpaniem sił i środków do życia) nie zdołały bez pomocy znaleść — i dla tych swoje sale zapisał.“

M. Chrzanowski.

Ośmielony zawezwaniem Rady Zarządzającej Dobrocz. Publiczną, do zdań ogłoszonych już w tym ważnym przedmiocie, dołączam i moje.

Nim jednak przystąpię do szczegółowego rozpatrzenia zapisu Staszica, w którym każde słowo ma i mieć musi dla nas niezmienne znaczenie (jeżeli mamy bez uprzedzeń lub z góry powziętej myśli przedmiot sam rozbierać), koniecznem jest mały przegląd zasad gospodarstwa społecznego.

W obecnym stanie umiejętności nauk ekonomicznych, każdemu znane jest twierdzenie: „każdy dla siebie,“ jak również przeciwne temu przeczenie „wszystko dla wszystkich.“

Zwolennicy pierwszego powołują się na święte prawo pracy i własności. Drugim trudno nie przyznać prawa do życia.

Czem jest prawo pracy i własności, dowodem rozwój Europy w porównaniu z Azyą, gdzie to prawo mniej jest szanowanem. Czem jest prawo do życia — dowodem walka o byt.

Zwolennicy bezwarunkowego prawa własności utrzymują: kapitał jest nasz, bez niego nie ma pracy, więc praca musi być od niego zależną. Drudzy znowu twierdzą, że przychodząc na świat są naturalnymi jego w części dziedzicami. A że bez płodów ziemi i pracy nie byłoby żadnych bogactw, oni także, co chcą pracować, powinni mieć udział w dziedzictwie świata.

Są nawet zdania, że rząd mógłby się zająć organizacyą wszelkiej pracy, a jednakże z praktyki wiadomo, że wszelkie fabryki, jeżeli nie są koniecznie potrzebne rządowi, nigdy mu się nie opłacają.

Rozczytując się w tym sporze, nieraz myśl błądzi, czyśmy się nie cofnęli XIX wieków? czy chrześcijańska podstawa społeczna: miłości

i poświęcenia, zawsze ma być zasadą że tak powiem oderwaną, nie w czynie, nie w prawach i ustawach o ile można stosowaną? Czy w tym razie, wyniosły anglik nachylający się do drobnego dziecka, niedołężnego starca lub chorej kobiety, i prawiący zasadę „każdy dla siebie“ nie wygląda trochę więcej jak dziwoląg? Boć nie każdy ma wiek, zdrowie, siłę i kapitał, koniecznie do pracy potrzebne.

A z drugiej strony gdy nam kto powie „wszystko dla wszystkich,“ pomimo woli przychodzi na myśl toż samo zdanie inaczej wyrażone: „nic dla nikogo.“ I w cóżby się obróciła pracowitość, zdolność, możność rozporządzania swą osobą i czasem? gdzie postęp, wynalazki, odkrycia? Wspólność pracy ogólna—toż dzicz czysta. Aż strach pomyśleć jak niewolniczy, ciężki byłby stan społeczeństwa.

Przeciwności zdań wyżej wymienionych, dadzą się pogodzić w następującej zasadzie: Każdy zdolny do pracy, mający odpowiednie środki jako osobistość, powinien pracować dla siebie, na swoję własność (stąd współubieganie). Tym którzy nie mają środków (kapitału) a chcą i umieją pracować, jako ludziom ubogim społeczeństwo z miłości, środki te dać powinno pod dogodnemi warunkami. Nie chcących lub nieumiejących pracować, jako ludzi zwierząt, prawo siłą zniewalać powinno do pracy (sprawiedliwość — praca obowiązkowa).

Dopiero ludzie niedołężni do pracy, z poświęcenia bliźnich (dobroczynność) powinni mieć wspólnie, wszystkie dla wszystkich, potrzeby życia zaspokojone. To zasada społeczna chrześciańska, godna XIX wieku.

W obec tej walki, prawa własności z prawem życia, kapitału z pracą, w obec rosnących u nas wymagań panów kapitału, od którego żądany procent ciągle wzrasta[1]), do jakiej potęgi podnieść genialność męża? który przed połową wieku, dał już materyalną podstawę do jednoczenia prawa własności z prawem życia, zgody kapitału z pracą, a jako chrześcijanin poświęcił swą własność dla dobra ubogich pracowników. Dał im kapitał, aby ich chęć do pracy pożytecznej odłogiem nie leżała, a sami w nędzy nie marnieli, — aby wesprzeć wszelką pracę, dać możność życia pracowitego.

Taka myśl, taki czyn, takie dzieło, stawia Staszica niezaprzeczenie w rzędzie dobroczyńców ludzkości. Ten człowiek przewidział przyszłość, i wcześnie położył grunt pod budowę, która dotkliwe rany społeczne najskuteczniej leczyć ma, nie czasowo, wsparciem, ale stale pracą i oszczędnością.

Walka chlebodawców z pracownikami w innych krajach tak zacięcie już wystąpiła, że baczną na siebie zwraca uwagę prawodawców. U nas, jest mniej widoczną, a mamy sposobność zapobiedz jej, z daru śp. Staszica, przyznając tak wielką summę bezprocentową (bo Staszic nie żąda powiększania kapitału) na korzyść tych, którym się ona należy, zdrowych członków społeczeństwa chcących pracować.

Dla Warszawy będzie to akt uwłaszczenia, obdarowania ubogich, milionowym bezprocentowym kapitałem Staszica; będzie to epoka wyzwolenia pracowników z pod jarzma—lichwy. Jasną więc jest rzeczą, że takie uwłaszczenie, usamowolnienie (jak nie miało zwolenników w ogóle dziedziców wsi), tak mówię, takie oswobodzenie od lichwy 24—260 procentu na rok, dla wielu jest nie na rękę, a więc radziby inny temu przedmiotowi nadać kierunek. I w samem więc rozwinięciu myśli Staszica, we wprowadzeniu w wykonanie, staje znowu do walki z jednej strony kapitał, lichwa, a po drugiej: ubóstwo, praca, prawda, sprawiedliwość, miłość i poświęcenie. Wykonanie myśli Staszica, będzie w części aktem wyzwolenia z niewoli egipskiej, znędzy.

Po tych słowach wstępnych, musimy jeszcze raz powtórzyć osnowę zapisu. Ś. p. Staszic, testamentem z dnia 20 sierpnia 1824 r., pomiędzy innemi wyraził się:

„Zapisuję 200,000 złp. na zaprowadzenie domu zarobkowego w Warszawie, lub zaprowadzenie przynajmniej sal zarobkowych, przy jakim w Warszawie instytucie lub szpitalu ubogich; onego wybór i stosownego do tego zamiaru urządzenia, zostawiam rządowi, z tym przecież warunkiem i uproszeniem:

Pierwsze: aby jedne 100,000 złp. robiło stały fundusz, którego roczny dochód będzie obrócony jedynie na opatrywanie sal zarobkowych; drugie zaś 100,000 złp. będzie składać fundusz wieczny, stale zarabiający kapitał, od którego corocznie procent, ma być obracany na powiększenie powyższego funduszu do utrzymania domu lub sal zarobkowych.

Drugi mój warunek aby w tym domu czyli salach zarobkowych, ubodzy zarabiający, byli podzieleni na klasy swych zdolności.

a) W pierwszej klasie mieścić się mają tacy, którzy zarabiają tylko 12 groszy na dzień. Z tych dziewięć groszy będą obracane na żywność a 3 na oszczędność zapasową dla właściwego indywiduum.

b) W drugiej klasie mieścić się mają tacy, którzy zarabiają 20 groszy na dzień; z tych gr: 5 ma być na żywność, a pięć na oszczędność dla indywiduum.

c) W trzeciej klasie mieścić się będą tacy, co zarabiają złoty na dzień; z tego 20 groszy na opatrywanie potrzeb życia, a 10 groszy na zapasową oszczędność.

d) W czwartej klasie mieścić się będą tacy, co zarabiają więcej niż złoty na dzień; z takiego zarobku połowa tylko może być użytą na żywność, a druga powinna się zbierać na oszczędność zapasową, dla właściwego indywiduum, gdy wychodzi z domu zarobkowego.“

Podług wyraźnego brzmienia zapisu: ma być zaprowadzony dom zarobkowy, a przynajmniej sale zarobkowe w Warszawie, przy jakim instytucie lub szpitalu ubogich w Warszawie.

Co do miejsca w ogóle nie ma najmniejszej wątpliwości, ma to być w Warszawie, i to jest dwa razy napisane. Nie mniej żadnego innego tłómaczenia nie dopuszcza wyraz zarobkowe, także umyślnie dwa razy napisany, a więc wyraźnie zrobiony jest przez Staszica na wyraz zarobkowy nacisk, aby go kto inaczej rozumieć nie chciał i nie mógł.

W opisaniu powyższem, znajdujemy podwójne wyrażenie: dom a przynajmniej sale przy jakim instytucie lub szpitalu ubogich.

Samo oddzielenie domu, a określenie sal przy instytucie lub szpitalu ubogich, daje nieomylne objaśnienie, że jeżeli da się z tych funduszów urządzić oddzielny dom zarobkowy, umyślnie właściwie urządzony, ten ma pierwszeństwo. Gdyby fundusz był zamały, wtedy urządzić przy jakim innym instytucie lub szpitalu ubogich przynajmniej sale zarobkowe. Pewność tego tłómaczenia, wyraz przynajmniej, doskonale i dobitnie określa.

Mają więc być w Warszawie sale zarobkowe. Jak to rozumieć? Nie inaczej tylko, że w nich za pracę swą, ludzie zarabiać mają pieniądze. Tu więc zaraz nastręcza się pytanie: Kto ma być tym zarabiającym? Ponieważ tu (na teraz) nie ma żadnego ścieśnienia, więc każdy.

W tym przedmiocie może odpowiednio będzie nadmienić własne słowa Staszica, przywiedzione przez p. Wedemana:

„Żaden nie ma od drugiego większych przywilejów i żaden bez pracowania żywić się z drugich nie może. Każdy tylko przez pracę swe potrzeby opatrza. Pracowici od rządu szacunek i względy doznają, sam tylko złoczyńca i próżniak prześladowanie i hańbę cierpi“ a nie mniej:

„Niegodni należenia do stowarzyszenia a w szczególności dotknięci karą wymierzoną wyrokami sądowemi— odpadną.“

Te myśli samego Staszica, jakkowiek przy innej okoliczności wyrzeczone, objaśniają nam że swe sale zarobkowe przeznaczył dla wszystkich (na teraz) bez wyjątku płci, wieku, stanu, powołania, religii, z zastrzeżeniem wyraźnem: że 1) nie mogą być cierpiani próżniacy; 2) nie mogą być dopuszczeni dotknięci karami sądowemi. A więc, instytucya ta w żaden a w żaden sposób pod poprawczą, ani pod zarząd sądowy lub jakiś dozór, nie podpada.

Mają być sale zarobkowe, tam więc mają zarabiać. Lecz w jaki sposób? czy to rzemieślnicy, wyrobnicy, fabrykanci, artyści? czy jakikolwiek stan lub zatrudnienie wyłącznie? Nie. A to dla czego? bo w takim razie Staszic który po dwa kładł wyrazy dla zwrócenia na nie uwagi, byłby to określił i napisał: rzemieślnicze, wyrobnicze i t. p. Gdy zaś tego nie ma, więc zarobek ma być niczem nie ograniczony, najogólniejszy, wszelki możliwy tak obecnie jako też i w przyszłości, taki, jaki się tylko potrzebnym okaże.

W razie urządzenia sal zarobkowych przy jakim w Warszawie instytucie lub szpitalu ubogich, onego wybór i stosowne do tego zamiaru urządzenie Staszic pozostawił rządowi. Znowu tu widzimy wyraz onego, dowodzący myśli Staszica: że jeżeli sale mają być urządzone przy jakiej instytucyi lub szpitalu

[1]) Słaby kredyt mający obywatele, opłacają 24 procentu od sta na rok. Rzemieślnicy, biorący na kredyt niektóre przedmioty im potrzebne, opłacają 5 kop. od rubla na tydzień, a więc od 100, na rok 260 procent.

ubogich, to onego (szpitala) wybór i w takim razie, urządzenie pozostawia rządowi. Rzecz znowu zupełnie jasna.

Przejdźmy teraz do wyraźnych warunków i uprosześ jak się Staszic wyraża.

Pierwszym warunkiem jest: aby jedne 100,000 złp. robiło stały fundusz, którego roczny dochód będzie obracany jedynie na opatrywanie sal zarobkowych, drugie zaś 100,000 będzie składać fundusz wieczny, stale zarabiający kapitał, od którego rocznie procent ma być obracanym na powiększenie powyższego funduszu, do utrzymania domu lub sal zarobkowych. Z tego okazuje się myśl Staszica: aby połowa sumy, „która ma stały fundusz robić“ była w obrocie, a od niej dochód czysty, jakikolwiek on będzie, wielki czy mały, przeznacza na dom zarobkowy. Druga zaś połowa zapisu składać ma fundusz wieczny, od którego corocznie procent ma być obracany na powiększenie powyższego funduszu, utrzymania domu lub sal zarobkowych. Druga więc połowa zapisu, nie może być użytą jako kapitał obrotowy, albowiem od tej, tylko procent coroczy na powiększenie funduszu zarobkowego przeznaczony został; sama zaś suma wieczyście na procencie lokowaną być ma.

Tym sposobem z zapisu Staszica połowa ma być kapitałem obrotowym, a z drugiej połowy stale na procencie umieszczonej, tylko coroczny procent na fundusz zarobkowy przeznaczony został. W każdym więc razie fundusz ten składać się będzie corocznie z dochodu od całego kapitału ś. p. Staszica, na ten cel przeznaczonego.

Drugi warunek (zwracamy uwagę na wyraz warunek, a więc wypełnienie jego jest koniecznością zapisu), drugi warunek jest następujący:

Aby w tym domu czyli salach zarobkowych ubodzy zarabiający byli podzieleni na klasy, wedle swych zdolności. Wyraz więc ubodzy, ma tu swe właściwe i stanowcze znaczenie, bo jest jedynem ograniczeniem, jakie Staszic stanowi dla wejścia do jego zakładu. A więc tylko ubodzy i tylko zarabiający należeć tu mogą. Nieubogich i niezdolnych do pracy, lub nie chcących pracować, zakład w żaden sposób przyjąć nie może, ani też mieć na sobie charakter dopiero nauczający jak w przyszłości pracować, (szkoła rzemieślnicza); chociaż to samo z siebie wypłynie jako wydoskonalenie w przedmiocie pracy.

Klasy zarabiających, cenę żywności i fundusz dzienny zaoszczędzony, przedstawi nam dla większej jasności następujący wykaz:

Klasa	Zarob. dzien.	Przeznaczenie główne zarobku	Oszczędności
	groszy		groszy
		będą obracane:	
I	12	9 na żywność	3 na oszczęd. zapasową dla właściw. indywidu.
II	20	15 na żywność	5 na oszczędność na indywiduum
III	30	20 na opatr. potrzeb żyć.	10 na zapasową oszczędność
IV	+30	$\frac{+30}{2}$ na żywność	$\frac{+30}{2}$ na oszczędność zapasową dla właściwego indywiduum, gdy wychodzi z domu zarobkowego.

W powyższym wykazie w przedziale ostatnim, oprócz wzrastającej oszczędności: tak co do ilości, jako też i stosunku, widzimy niejednakowe jej określenie. I tak: wyraz „zapasową“ powtórzony w trzech klasach, jest opuszczony w klasie II. Czyż przez to możemy przypuszczać, że on się do tej klasy nie stosuje? Bynajmniej. Wyraz ten musi się stosować do każdej klasy, jako bliższe orzeczenie wyrazu oszczędność. Tak samo mamy prawo utrzymywać o wyrazach właściwe indywiduum, zapisanych w klasach I i IV, opuszczonych w klasie III a w II jednym wyrazem oznaczonych. Rozumowanie nasze niemniej będzie zasadne, że i wyrażenie „gdy wychodzi z domu zarobkowego,“ jakkolwiek zapisano tylko w klasie IV, stosować się musi do wszystkich klas. Stąd wypłynie nam przekonanie, że opisanie Staszica wypowiedziane w jednej klasie, stosuje się do wszystkich; a co do oszczędności, że wolą jego jest we wszystkich klasach aby: pewna dana część zarobku obracaną była na oszczędność zapasową dla właściwego indywiduum, gdy wychodzi z domu zarobkowego.

Toż samo prawo, uznania orzeczeń w jednej klasie zapisanych, jako obowiązujących we wszystkich, przyjąć nam należy i co do określenia testamentowego, co do ilości przeznaczonej na utrzymanie. Otoż, oprócz ilości stosunkowej przechodzącej na utrzymanie, szczegółowe określenie przedmiotu podług woli Staszica będzie: część zarobku (oznaczona) ma być obracana na opatrywanie potrzeb życia. Tak, jak to wyraźnie jest zapisane w klasie III, a co do wyrazu obracane w klasie I, a w klasie IV „użytą.“

Stąd jasno się okazuje, że opędzeniem potrzeb życia, zajmuje się instytucya, a więc daje: pomieszkanie, opał, światło, odzież i potrzebną naukę, zgoła opatruje potrzeby życia jak to zapisano w klasie III. Że zaś Staszic tak chciał, a nie inaczej, dowód tego daje wyrażenie obracanie (w klasie I i użyte w klasie IV), którychby nie był zamieścił, gdyby chciał, aby każdy oddzielnie się żywił, bo w takim razie byłby napisał, z tych 9 groszy będą wypłacane właściwemu indywiduum na żywność,“ a tego w zapisie wcale nie ma. a wyraźnie stoi obracane, użyte a więc przez zarząd zakładu.

Gdyby kto chciał temu przeczyć, to jeszcze nowy stawiamy dowód. Staszic dzieląc na klasy, zapisuje ile w każdej jest płacy dziennej, ile idzie na żywność a ile na oszczędność dla indywiduum, przy wyjściu z instytutu.

Pytam się każdego zdrowe zmysły mającego, czy taki człowiek jak Staszic mógł zapomnieć, że oprócz żywności są inne potrzeby życia? czy więc mógł mieć zamiar, aby pracujący uczciwie w jego zakładzie, mieli żywność i oszczędność po wyjściu z instytutu, a w czasie pobytu przy pracy w nim, nie mieli ani schronienia, ani w niem ciepła, światła, i żadnej odzieży?

Takie przypuszczenie, byłoby (jak w matematyce nazywają) doprowadzeniem do niedorzeczności, a więc nieprawdą. Staszic więc, tak jak to wyraźnie pisze w III-iej klasie, chce aby w jego domu zarobkowym, opatrywano potrzeby życia, a więc dawano: żywność, mieszkanie, opał, światło i t. d.

Ponieważ wyżej przytoczone wynagrodzenie dzienne za pracę, jest że tak powiem, głównym powodem zarzutów niemożliwości urządzenia tak zbawiennego i koniecznego zakładu, wypada nam oddzielnie, bliżej nad cenami temi zastanowić się.

W powyższych wynagrodzeniach, przepisanych przez Staszica, na każdą klasę, naznaczoną jest wprawdzie najniższa cena dzienna gr. 12, ale ceny najwyższe nie są wcale niczem ograniczone.

Na zapytanie kto obecnie będzie pracował dziennie za 12 groszy? odpowiemy w znaczeniu zakładu, że to nie 12 groszy dziennie, ale całkowite utrzymanie i trzy grosze dziennie oszczędności, — a wynagrodzenie takie, każdy przyjąć powinien, kto potrzebuje aby żył z poczciwej pracy, a lepszego zajęcia nie ma. W każdym zaś razie, wynagrodzenie to za dziecinną pracę, wcale nie jest zupełnie niemożliwe nawet przy dzisiejszych okolicznościach.

Gdy więc wynagrodzenie przez Staszica przyznane, w najwyższej klasie wcale nie jest niczem ograniczone, a w klasie najniższej, jako dające całkowite utrzymanie i jeszcze pewną oszczędność, i dzisiaj nawet niemożliwem nie jest, tym sposobem w klasyfikacyi cen zarobku dziennego, nawet literalnie wziętej, nie widzimy żadnej niemożliwości urządzenia zakładu Staszica.

Staszic więc: przeznaczył swój fundusz na urządzenie w Warszawie domu zarobkowego, a gdyby fundusz był zamałym, na sale zarobkowe przy jakim instytucie lub szpitalu, a to dla wszystkich bez ograniczenia ubogich, pracowitych, do pracy zdolnych, sądownie nie karanych, bez żadnego ograniczenia przedmiotu zatrudnienia.

Połowa kapitału Staszica ma być w obrocie, a dochód z tej, i procent z drugiej połowy, wieczyście ulokowanej, przeznaczone są na utrzymanie zakładu, który dzieląc pracowników stosownie do stopnia ich zdolności na IV klasy, co do ceny dziennego wynagrodzenia, ma wskazany w każdej klasie stosunek, w jakim dla każdego pracownika zatrzymaną być ma na oszczędność część zarobku, aż do czasu wyjścia jego z domu zarobkowego. Za resztę wynagrodzenia zakład zaopatrywać powinien pracującego, we wszystkie potrzeby życia.

Staszic wiedział doskonale, gdzie największa nędza panuje; że wydobyć z nędzy wielkie miasta, jest toż samo co wyleczyć kraj od straszliwego raka społecznego. Dla tego to swój zakład zarobkowy dla Warszawy przeznaczył, chcąc w niej w ten sposób pracą, przy bezprocentowym kapitale powstrzymać ubóstwo, i nie dopuścić ubogich, aby się stali nędzarzami, a tym sposobem ustanowić na nędzę, najskuteczniejsze lekarstwo.

Testament ś. p. Staszica spisany był w r. 1824, a w wykonaniu jego jak nam powiadają, zachodzą obecnie trudności, z powodu zmiany czasu, stosunków, potrzeb i t. p. Zanim więc dalej krok jeden postąpimy, potrzeba nam

chociaż pobieżnie przejść stan ówczesny, porównać z obecnym, i wyprowadzić wnioski w przedmiocie nas zajmującym, z porównania wypływające.

Pierwotny zapis ś. p. Staszica w ilości złp. 200,000 z upływem czasu wzrósł obecnie blisko do miliona. Ta jednak okoliczność nie może źle oddziaływać na rozwój jego zakładu. Tylko przeszłe pokolenia, i część żyjących w biedzie, mogły i mogą być niezadowolone, że z tego dobroczynnego zapisu nie korzystały.

Ponieważ wolą Staszica było: aby połowa zapisu stanowiła kapitał obrotowy, a druga kapitał wieczyście procent przynoszący, zaś dochód od obu połów, aby na potrzeby domu zarobkowego był obracany; więc około 500,000 złp. jest kapitału obrotowego, a na potrzeby domu mamy dochód od miliona, a więc na dom zarobkowy bez krzywdy zakładu dozwolonem jest wydawać od 50 do 60,000 złp. rocznie, jest więc czem się zagospodarować, i opędzać potrzeby. d. n.

HISTORYA O PIĘKNYM PECOPIN
I PIĘKNEJ BAULDOUR,

przez

Wiktora Hugo.

(Dalszy ciąg)

XIII.

Jaka gospoda, tacy goście.

Kiedy Pecopin zastanawiał się nad ponurą ironią tego napisu, drzwi powoli otworzyły się; koń postąpił dalej, a Pecopin jak człowiek wchodzący do piwnicy z pełnego słońca, początkowo nic nie widział.

Drzwi zamknęły się za nim, miejsce zaś gdzie wjechał było tak ciemne, że w pierwszej chwili sądził się być oślepionym.

Powoli oczy Pecopina przywykły do zmroku i w pewnej odległości od siebie ujrzał blade światło; następnie, po zupełnem dopiero ich wypoczęciu od nienaturalnego blasku przedsionków które przebył, rozpoznał jak w mgle całe setki kolumn potwornych, wspierających strop babilońskiej sali. Światło płonące w środku tej sali zaczęło się rozjaśniać, rysując na około kształty; po kilku chwilach rycerz ujrzał wynurzający się z cienia w pośrodku lasu kolumn skręconych, wielki stół słabo oświetlony świecznikiem o siedmiu ramionach, na końcu których drżało i wahało się siedm niebieskich płomieni.

Na honorowem końcu tego stołu na tronie z zielonego złota, siedział żyjący olbrzym spiżowy. Ten olbrzym był to Nemrod. Po prawej i lewej stronie jego na fotelach z żelaza siedział blady i milczący tłum biesiadników, z których jedni mieli na głowach maurytańskie zawoje, inni zaś okryci byli perłami jak król z Bisnagaru.

Pecopin ujrzał przed sobą najsławniejszych myśliwych o których wspomina historya: król Mithrobuzane, tyran Machanidas, konsul rzymski Emilius Barbula II; Rollo król morza; Zuentibold, niegodny syn wielkiego Arnolfa króla Lotaryngii; Haganon ulubieniec Karola francuskiego; Herbert, hrabia Vermandois; Poitiers, protoplasta sławnego rodu Rechignevoisin; papież Vitalianus; Faldulfus, opat z Saint-Denis; Athelstan król angielski i Aigrold król Danii. Obok Nemroda siedział wsparty na łokciu wielki Cyrus, który na 2,000 lat przed Chrystusem założył państwo Persów; na piersiach jego widać było herb, którym jak wiemy był: w zielonem polu czysty lew srebrny, w koronie ze złotych liści, otoczony z paszczami przystrojonemi w ośm listków koniczyny ze srebrnemi łodygami.

Stół ten był nakryty według etykiety cesarskiej; na czterech zaś rogach siedziały cztery wielkie i sławne łowczynie: Królowa Emma, *królowa Ogiwa matka Ludwika z za morza*, królowa Gerberga i Dyanna która jako bogini miała po nad sobą baldachim a przed sobą sztuciec złoty.

Żaden z biesiadników nie jadł, nie mówił, nie patrzył. Szeroki plac na środku obrusa oczekiwał na zastawienie półmisków, na stole tylko stały flaszki w których połyskiwało tysiące napojów używanych przez rozmaite ludy: wino palmowe z Indyi, ryżowe z Bengalu, woda dystylowana z Sumatry, arak japoński, pam-plis chiński i pechmez turecki. Tu i ówdzie w szerokich naczyniach z gliny bogato emaliowanej stał napój, który w Norwegii nosi nazwę *wel*, w Gocyi *buska*, w Karyntyi *vo*, w Slawonii *oll*, w Dalmacyi *bieu*, na Węgrzech *ser*, w Czechach *piva*, we Francyi *la bière* a u nas *piwo*.

Murzyni podobni do szatanów czy też szatani podobni do murzynów stali na około stołu, każdy w milczeniu trzymał serwetę pod pachą a w ręku dzbanek. Obok każdego z biesiadników stał karzełek. Dyanna zaś miała przy sobie charta.

Rozpatrując uważnie najciemniejsze zakątki tego dziwnego miejsca, Pecopin zauważył w głębi bez końca pod lasem kolumn tłum widzów; wszyscy jak on na koniach w ubraniach myśliwskich; stáli oni ciemni jak duchy, nieruchomi jak posągi, milczący jak widziadła. W najbliższych rozpoznawał rycerzy, którzy towarzyszyli starcowi na łowach. Całe to zgromadzenie o którem mówiłem, biesiadnicy, służba i widzowie zachowywali milczenie przerażające; raczej usłyszałbyś gwarę kamieni w grobowcu niż oddech którego z tych cieni. W tej ciemnicy było przejmujące zimno. Pecopin zmarzł aż do kości a jednak czuł, że pot spływa mu po całem ciele. Nagle dał się słyszeć odgłos psiarni, najprzód w oddali potem coraz bliżej, gwałtowny, wesoły i dziki; potem róg starego strzelca odezwał się cudowną fanfarą, w której tyle było wspaniałości, potęgi, że w kilka wieków potem, kiedy wielki muzyk Roland de Lattre, w sennem marzeniu usłyszaną przelał na papier, miał zaszczyt szóstego kwietnia 1574 roku być mianowanym przez papieża Grzegorza XIII, kawalerem orderu Ś-go Piotra, ze złotemi ostrogami *de numero participantium*.

Na odgłos ten, Nemrod podniósł głowę, opat Fandulfus odwrócił się do połowy a Cyrus oparty dotąd na lewem ramieniu wsparł się na prawem.

XIV.

Nowy sposób spadania z konia.

Szczekania i róg zbliżyły się. Wielkie drzwi naprzeciwko tych, któremi wjechał Pecopin otworzyły się na rozcież, i rycerz ujrzał w głębi długiej, ciemnej galeryi dwustu służalców z pochodniami, niosących na plecach niezmierny półmisek z zielonego złota, na którym leżał jeleń z rogami o szesnastu gałęziach całkowicie upieczony i dymiący.

Na czele służalców, których dwieście pochodni jak żar świeciło, postępował stary myśliwy na spienionym tatarskim biegunie, trzymając w ręku róg z bawołu.

Przestał już grać na nim; uśmiechał się tylko uprzejmie, wśród wycia psiarni otaczającej jelenia.

Zamaskowany pikinier ciągle ją prowadził.

Zaledwie ten pochód wkroczył z galeryi do sali, pochodnie służalców zabłysły niebieskiem światłem i psy nagle ucichły.

Te przerażające brytany, z pyskiem lwa a warczeniem tygrysa posuwały się za swoim panem, wolno, z głowami spuszczonemi, podsunąwszy pod siebie ogony, z drżącemi nogami, od okropnego strachu, z błagalnem spojrzeniem, aż do stołu na około którego siedziało grono biesiadników zawsze bladych, nieruchomych i zimnych, jak twarze z marmuru.

Przystąpiwszy do samego stołu, starzec spojrzał w twarze ponurych biesiadników i rozśmiał się na cały głos:

— Hombres y mugeros, or çà, vosostros, belle signore, domini et dominæ, amigos mios, cóż porabiacie?

— Spóźniasz się bardzo, rzekł człowiek spiżowy.

— Chciałem pokazać polowanie mojemu przyjacielowi, odpowiedział starzec.

— To dobrze, ale patrz!

Wyciągnął palec ręki prawej wskazując po za plecami w głąb' sali.

Mimowolnie Pecopin pobiegł wzrokiem za wskazówką olbrzyma i ujrzał białawe smugi w dali na czarnych murach się rysujące: jak gdyby na oknach odbijał się pierwszy brzask zorzy porannej.

— A więc, zawołał starzec, spieszmy się.

Dał znak i dwustu służalców przy pomocy murzynów przystąpiło do postawienia na stole u stóp świecznika o siedmiu ramionach, półmiska z pieczonym jeleniem. Wtedy Pecopin spiął dzianeta ostrogami i dziwna rzecz koń go posłuchał, widocznie moc czarów zmniejsza się za zbliżeniem dnia. Wjechał z koniem pomiędzy służalcow i stół, stanął w strzemionach i z mieczem w dłoni spojrzał w okropne twarze biesiadników i zwróciwszy się do starego strzelca zawołał grzmiącym głosem:— Na Boga żywego! Ktokolwiek jesteście cienie, larwy, widziadła i duchy, czy szatani, zabraniam wam ruszyć się na krok; inaczej nauczę was, tak mi Boże dopomóż, nawet i ciebie olbrzymie spiżowy, jak żelazny but rycerza żywego zaciąży na głowie upiora. Jestem w jaskini duchów, ale chcę robić podług mojego zachcenia rzeczy prawdziwe i okropne! Nie mieszajcie się więc, panowie moi! Ty zaś nikczemny starcze coś skłamał

przedemną możesz się zmienić w młodzieńca, jeżeli potrafisz w róg zadąć z siłą byka. Broń się albo zaklinam cię na mszę świętą, że rozpłatam ci brzuch, chociażbyś był samym Plutonem.

— A jesteś mój drogi? rzekł starzec, siadajże z nami do stołu.

Uśmiech który towarzyszył temu uprzejmemu zaproszeniu. doprowadził Pecopina do wściekłości.

— Broń się stary błaźnie co obiecujesz, a potem nie umiesz dotrzymać słowa.

— Hi! hi! siedź cicho, a czekaj końca.

— Broń się, mówię ci!

— Eh! mój drogi, nie umiesz się znaleść w towarzystwie.

— Oddaj mi Bauldour! wszak mi przyrzekłeś!

— A któż ci powiedział, że nie oddam? Ale, powiedz mi co będziesz z nią robił, jak się zobaczycie?

— Wiesz nędzniku, że jest moją narzeczoną, ożenię się z nią zatem.

— I będzie jedna więcej głupia i nieszczęśliwa para z was dwojga, odpowiedział stary strzelec kiwając głową. A zresztą co mnie to obchodzi? Niech się dzieje co chce, zły przykład dla samców i samic ludzkich, idzie z góry, od samca i samicy świecących nad niemi, od słońca i księżyca, które najgorzej z sobą żyją, i nigdy się nie schodzą razem.

— Hola! dosyć tych błazeństw! zawołał rycerz, albo zamorduję ciebie, zamorduję tych szatanów, ich boginie, i oczyszczę tę jaskinię piekielną.

— Czyść braciszku! oto formuła: senes, rumbarbarum, sól epsomska; senes wymiata żołądek, rumbarbarum szlamuje duodenum, a sól epsomska przemywa wnętrzności.

Pecopin wściekły, rzucił się na niego ze szpadą, ale koń zaledwie postąpił jeden krok zaczął drżyć i chwiać się. Spojrzał. Zimny i biały promień dnia wpadł do jaskini i błyszczał na niebieskich taflach posadzki. Oprócz starego strzelca który ciągle z uśmiechem stał przed nim nieruchomy, wszyscy obecnie zaczynali niknąć. Świeczniki i pochodnie gasły, źrenice biesiadników na chwilę ożywione gwałtowną napaścią Pecopina, straciły już spojrzenie, i przez niezmierny tułów spiżowego olbrzyma Nemroda, jak przez zieloną szybę widział całe rzędy kolumn wspierających sklepienie.

Koń stawał się nieujętym i niknął powoli. Nogi Pecopina zbliżyły się do samej ziemi.

Nagle kur zapiał. Wtem pianiu czystem, metalicznem i drgającem, było coś strasznego, świdrującego uszy Pecopina, jak klinga stalowa.

W tejże chwili wiatr zawiał, koń rozpłynął się i Pecopin zaledwie nie padł na ziemię.

Kiedy wyprostował się, wszystko już zniknęło. Znalazł się sam, stojący z mieczem w dłoni w wąwozie zarosłym krzakami, o kilka kroków od wody szumiącej na skałach, przy bramie jakiegoś zamku.

Rozwidniało się. Podniósł oczy i krzyknął z radości. Ten zamek, to był Falkenburg.

XV.

W którym jest wyjaśnione, jakiej figury retorycznej Bóg najchętniej używa, przemawiając do ludzi.

Kogut zapiał poraz wtóry. Głos jego dał się słyszeć z podwórza zamkowego. Może ten kogut, którego pianie zburzyło w oczach Pecopina wspaniały pałac pełen nowych widziadeł, może ten kogut wczoraj jeszcze i tej nocy nawet, dziobał ziarnka rzucone ubóstwianemi rączkami Bauldour.

Władco miłości! szlachetna siło serc! ciepły promieniu najpiękniejszych uczuć i lat najpiękniejszych! Zaledwie Pecopin ujrzał te drogie wieżyczki, już obraz jego narzeczonej ukazał się w jego sercu jasny i upajający, i napełnił całą jego duszę, uczuł, że jak dym uleciały wszystkie nędze przeszłości; ambasady, królowie, podróże, widziadła i cała jaskinia larw z której wyszedł przed chwilą.

Nie tak to zapewne, z głową dumnie wzniesioną, i z pałającem wejrzeniem ukoronowany mnich o którym wspomina *Speculum historiale*, wychodził z wnętrza smoka spiżowego, z pośrodka rojów straszydeł. Ale, ponieważ przyszła na myśl piszącemu tę historyę ta ohydna postać, należy rzucić jej w twarz przekleństwem i napiętnować stygmatem hańby, tego fałszywego mędrca o dwóch licach, jednem zwróconem ku Bogu, drugiem zapatrzonem w szatana, tego skromnisia udanego, który w obec Boga był papieżem Sylwestrem II, a w obec piekła czarnoksiężnikiem Gerbertem.

Względem zdrajców i ludzi dwulicowych, zemsta jest obowiązkiem; nienawiść wieków potomnych niech im będzie wiekuistą zapłatą.

Każdy paryżanin powinien przechodząc około grobu Leclerqa rzucić kamień; każdy Hiszpan hrabiemu Julianowi, każdy chrześcijanin Judaszowi, każdy człowiek szatanowi.

Zresztą, nie zapominajmy o tem, że Bóg zawsze obok nocy stawia dzień, obok złego dobre, anioła obok diabła.

Na tej odwiecznej i wzniosłej antytezie polega nauka jaką dobry Bóg daje ludzkości. Zdaje się, że Stwórca zawsze mówi: Wybieraj!

W III-im wieku, twarz w twarz z mnichem zaprzedanym diabłu Gerbertem, postawił czystego, energicznego i uczonego Emaldusa. Czarnoksiężnik był papieżem, święty zaś doktor był lekarzem. Jednocześnie więc ludzkość widziała białą wiedzę w czarnych szatach i czarną wiedzę w białej szacie.



Fig. 7. Widownia ziemi w czasie okresu dewońskiego. (str. 90).

Pecopin włożył miecz w pochwę i szybko zmierzał ku zamkowi, którego okna oświetlone promieniami słońca, śmiały się do pięknego poranku.

Kiedy zbliżył się do mostu po którym dziś jedna tylko pozostała arkada, usłyszał za sobą głos mówiący:

— A cóż rycerzu z Sonneck, czy dotrzymałem ci słowa?

XVI.

Czy można kogo poznać, jeżeli poprzednio wcale go się nie znało.

Obejrzał się. Dwóch ludzi stało w krzakach. Jeden był to zamaskowany pikinier i Pecopina dreszcz przeszedł na jego widok. Pod pachą trzymał wielką tekę czerwonego koloru. Drugi był to starzec maleńki, garbaty, kulawy i szkaradnie brzydki. On to właśnie odezwał się do Pecopina, starającego się napróżno przypomnieć sobie gdzie widział tę twarz.

— Mój szlachcicu, zaczął garbaty, nie poznajesz że mnie?

— Poznaję.

— Eh! nie może być.

— Jesteś niewolnik z nad brzegów morza Czerwonego.

— Jestem strzelcem z lasu kroków straconych.

To był diabeł.

— Na honor, rzekł Pecopin, bądź sobie kim chcesz, ale ponieważ dotrzymałeś mi słowa, ponieważ jestem w Falkenburgu i ponieważ znów ujrzę Bauldour, jestem ci obowiązanym i szczerze dziękuję za twoję pomoc.

— Kiedy tej nocy oskarżałeś mnie, com ci powiedział?

— Powiedziałeś: czekaj końca.

— A więc teraz dziękujesz mi; ja zaś znów powtarzam czekaj końca Zanadto spieszyłeś się złorzecząc mi, a teraz zanadto się spieszysz z podziękowaniami:

Kiedy garbus to mówił, twarz jego przybrała wyraz dziwny i zagadkowy. Ironia, to maska zdjęta z szatana.

Pecopina strach przejął.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Diabeł wskazał mu zamaskowanego pikiniera.

— Czy poznajesz tego człowieka?

— Tak.

— Więc go znasz?...

— Nie.

Pikinier zdjął maskę. Był to Erilangus.

Pecopin zadrżał ujrzawszy go. Diabeł zaś mówił dalej:

— Pecopinie, byłeś moim wierzycielem, winienem ci dwie rzeczy: ten garb i tę kulawą nogę. Ja zaś jestem dobrym dłużnikiem. Wyszukałem twojego niegdyś sługę Erilanga, ażeby dowiedzieć się o twoich upodobaniach. Ten wtajemniczył mnie do jakiego stopnia lubisz polowanie. Wtedy powiedziałem sobie: coby to za szkoda była, żeby taki zagorzały myśliwiec nie widział nocnych łowów. Przy zachodzie słońca spotkałem cię na polance. Byłeś w lesie kroków straconych. Przybyłem na sam czas; karzeł Roulon chciał cię wziąć dla siebie, tymczasem ja cię zabrałem. Ot i cała prawda.

Pecopin mimowolnie drgnął. Diabeł kończył:

— Żebyś był nie miał przy sobie talizmanu, z pewnością byłbym cię zabrał. Ale nawet lepiej że się tak stało. Zemstę na różne sposoby przyprawiać można.

— Powiedz mi szatanie do czego to prowadzi? zapytał Pecopin z wysiłkiem.

Diabeł mówił dalej: — Chcąc wynagrodzić Erilanga za objaśnienia dane mi o tobie, kazałem mu nosić za sobą tekę z papierami. Nie uwierzysz jakie grube dochody jemu to przynosi.

— Złośliwy błaźnie czy powiesz mi nareszcie co to wszystko znaczy?

— Coż ci przyrzekłem?

— Że po spędzeniu tej nocy z tobą na łowach, o wschodzie słońca zaprowadzisz mię do Falkenburga.

— Wszak tutaj jesteś.

— Powiedz mi szatanie czy Bauldour umarła?

— Nie.

— Czy poszła za mąż?

— Nie.

— Czy wstąpiła do zakonu?

— Nie.

— Więc jej nie ma w Falkenburgu?

— Jest.

— Czy kocha mię zawsze?

— A jakże.

— Jeżeli więc mówisz prawdę, zawołał Pecopin, oddychając jak gdyby zrzucił ciężar z serca, cokolwiekbądź nastąpi, ktokolwiek jesteś, dziękuję ci, bywaj zdrów...

— To i dobrze, rzekł diabeł, tyś kontent i ja także.

To mówiąc pochwycił w pół Erilangusa chociaż znacznie mniejszy od niego, potem wykręciwszy młynka na prawej nodze razem z Erilangem. wkręcił się jak świder w ziemię.

W sekundę znaku po nim nie zostało.

Ziemia zamykając się za diabłem wyrzuciła płomyk fioletowy przesiany zielonemi iskierkami, ten zaś uleciał wesoło podskakujący przewracając koziołki, aż do lasu, gdzie przez kilka minut wieszał się, bujając na drzewach i strojąc je w tysiące barw świetlanych, niby tęcza rozlana na liściach i kwiatach.

d. n.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(dalszy ciąg).

Okres Dewoński.

W historyi geologicznej naszej planety, przychodzi nam z kolei mówić o okresie *dewońskim*, tak zwanym od warstw które występują bardzo wyraźnie na wielkim płacie ziemi, w hrabstwie Dewonshire w Anglii.

W ciągu tego okresu lądy powstałe z osadów wytworzonych przez morza, zbogacone zostały kilku gatunkami roślinnemi i zwierzęcemi, więcej złożonego ustroju od tych, które stanowiły pierwotną florę i faunę. W pracy niniejszej czytelnik zapewne z niejakiem zajęciem dostrzeże postęp w stopniowych rozwojach życia organicznego, a rozwoje te w miarę jak ziemia dojrzewała, jak oddalała się, że tak powiemy, od swej kolebki, będą coraz doskonalsze i wyrazistsze. Widzieliśmy w czasie okresu sylurycznego, życie zaledwie kiełkujące, reprezentowane jedynie przez rośliny i zwierzęta niższego rzędu—przez wodorosty, zwierzokrzewy, zwierzęta stawowate i mięczaki. Zobaczymy później, że w miarę jak kula ziemska starzała się, organizmy nabywały coraz większej doskonałości. Po zwierzokrzewach, zwierzętach stawowatych i mięczakach, przejawią się pierwsze kręgowce pod postacią licznych ryb, zapełniających morza. Następnie spostrzeżemy płazy, dalej zwierzęta ssące i ptaki a w końcu człowieka, mocarza ziemi, potęgą inteligencyi, przewyższającego wszelkie twory świata.

Zaznaczyć też winniśmy że natura z niewyczerpaną rozrzutnością rozradzała te organizmy. W okresie sylurycznym znachodzimy wielkie mnóstwo skorupiaków; w dewońskim zaś napotykamy na niezliczone rzesze mięczaków. Eligiusz de Beaumont obliczył, że w warstwie wapienia, metr grubości mającej, na jednym myryametrze kwadratowym powierzchni, mieści się 27,000,000,000,000 pancerzy tych jestestw! Drzeworyt oznaczony Nr. 7 przedstawia widok idealny ziemi w czasie okresu dewońskiego. Widzimy tu rozległe morze, na powierzchni którego występuje tu i ówdzie kilka wysepek—po skałach pełzają zwierzęta stawowate i mięczaki właściwe tej epoce. Na pobrzeżu spostrzegamy rozciągnięte ciało olbrzymiej ryby pancernej. Jedną z tych wysepek pokrywają krzewy asterofilitów (Asterophyllites coronata), oraz rośliny do mchów podobne, chociaż rzeczywiste mchy wystąpiły nierównie później.

Rozwój tej roślinności jest jeszcze ubogi—drzew olbrzymich rozrastających się w puszczach brak całkiem, wyłącznie tylko astrofility, krzewy prostej budowy, wznoszą ku niebu swe łodygi cienkie i wysmukłe. Słabe promienie światła słonecznego, przedzierające się z trudnością przez wpół przezroczą atmosferę, pozwalały jedynie na wątły rozwój roślinności lichej, złożonej z komórkowej tkanki najprostszego ustroju. Rośliny skrytopłciowe (cryptogamae) o których grzyby dzisiejsze mogą nam dawać pewne wyobrażenie, głównie reprezentowały tę wegetecyą pierwotną. Z powodu jednak ich tkanki miękkiej, słabej, niespójnej, pozbawionej włókien drzewiastych, ślady tych roślin nie mogły dotrwać do naszych czasów.

Kształty roślin właściwych okresowi dewońskiemu, różniły się wielce jak widzimy, od tych, jakie dziś znachodzimy na ziemi. Florę dewońską składały zarazem mchy i widłaki, to jest rośliny skrytopłciowe niższego rzędu, nie posiadające kwiatów widocznych.

Widłaki dziś są roślinami trawiastemi, prawie wyłącznie złożonemi z naczyń siatkowatych i dość podrzędne miejsce zajmującemi w państwie matki Flory. W czasach jednak pierwotnych, widłaki przedstawiały się na pierwszym planie w świecie roślinnym, tak ze względu swej wielkości, jak liczby i rozmaitości składających je gatunków.

Wytworny krzew z owego okresu zwany *Asterofilitem* (Asterophyllites coronata) należący do rodziny dziś całkiem zniknęłej z powierzchni ziemi, mieścił się w dziale roślin dwuliściennych (dicotyledoneae), obejmujących obecnie drzewa szyszkowe (coniferae) i sagowce (cycadeae). Iglaste liście asterofilitów, rozpościerały się promienisto na gałęziach okółkowych. Rośliny wodne okresu dewońskiego składały się z wodorostów (algae), webł czyli traw morskich (zostera marina) i psylofitonów (psilophyton).

Przejdźmy do zwierząt tego okresu.

Przedewszystkiem winniśmy wymienić ryby, których wszakże ustrój różnił się zupełnie od właściwego dziś istniejącym, gdyż posiadały pancerz od którego wzięły nazwę *kostołuskich* (ganoidei), to jest pancernych. Posiadamy z owego okresu liczne okazy ryby, dziwacznej budowy zwanej *Pterichthys cornutus*, której ciało osłaniał całkowicie pancerz z kilku tarcz złożony, a maleńka głowa opatrzoną była dwoma płetwami przyjmującemi postać skrzydeł. Dwa inne gatunki ryb z tego okre-

su. noszą nazwy *Coccosteus* i *Cephalaspis*. Z tych pierwszy opatrzony był pancerzem, w połowie tylko wierzchniej ciało osłaniającym—drugi zaś posiadał pancerz jedynie od przodu zwierzę zabezpieczający. Inne ryby dewońskie, nie miały ściśle biorąc pancerza, lecz tylko twarde łuski otaczające je całkowicie. Do takich należały: *Acanthodes*, *Climatius* i *Diplacanthus*.

W warstwach z tegoż okresu pochodzących, znachodzimy przejawiające się wówczas poraz pierwszy, jestestwa robakowate, tak zwane *pierścienice rurkowate* (annelides tubicoles), osłonięte zewnątrz powłoką skorupiastą, reprezentowane przez rodzaj Rurówki (serpula). Skorupiaki i trylobity były naówczas jeszcze liczne, zwłaszcza też w warstwach podstawowych tego utworu.

Napotykamy w nich niemniej wielką ilość różnogatunkowych mięczaków, w pośród których ramionowce stanowią większą połowę. Możnaby rzec, że cały okres dewoński jest epoką ramionowców, które przedstawiają w nim kształty najrozmaitsze, reprezentowane przez niezliczone gatunki. Do najciekawszych z nich należą: olbrzymi mięczak *Strygocephalus Burtini*, *Davidsonia Verneuili*, *Uncites gryphus*, i muszla pantofelkowata (calceola sandalina). Wszystkie te mięczaki dziwacznych kształtów, odróżniają się całkiem od dziś istniejących. Wszelako najcharakterystyczniejszemi z mięczaków były: *Atrypa reticularis*, *Spirygera concentrica* i *Leptaena Murchisoni*. W warstwach dewonu napotykamy też *productus subaculeatus* i *Clymenia Sedgwicki*.

Piękne głównonogi sąsiednie rodzajowi ammonitów, jakiemi cechuje się epoka drugorzędowa, żyły już w okresie dewońskim. Z licznych promieniaków owoczesnych, wymieniamy enkryny, których typ przedstawiać może *Cupressocrinus crassus*.

Liliowce czyli enkryny, żyły przytwierdzone do skał, w pośród najgłębszych ich uławiceń, z otwartą paszczą czyhały na zdobycz, podobne do krzewów skamieniałych. W rzeczy samej, ciało ich złożonem było zwykle z pięciu ramion, które rozwierały się dla pochwycenia łupu. Ciało tych jestestw spoczywało, że tak powiemy, na łodydze złożonej z licznych stawów, i przytwierdzonej do ziemi rodzajem korzenia. W skutek przytwierdzenia do skały tych jestestw, i łatwości z jaką mogły otwierać i zamykać swe ramiona, na podobieństwo kielicha kwiatowego, nadają im często nazwę *kwiatów kamiennych*. Eukryny żyły już zresztą w okresie sylurycznym, a mianowicie rodzaj *Hemicosmites*, zamieszkujący morza w wodach morskich dewonu, rozprowadzały się wielce; w miarę zaś jak oddalamy się od tego okresu, liczba ich zmniejsza się i w końcu prawie zupełnie znika, gdyż dziś tylko dwa posiadamy rodzaje tych jestestw. Warstwy utworu dewońskiego składają się z łupków, wapieni i piaskowców—zajmują północ, zachód i południe Francyi, oraz znaczne przestrzenie w Belgii, Rossyi, Hiszpanii i Ameryce, tworzą wreszcie rozległe pokłady *piaskowca czerwonego* w Anglii, tudzież *szarej waki* (grauwacke). Warstwy dewońskie obejmują ze znanych, najstarożytniejsze pokłady materyału opałowego. Do takich należy prawdopodobnie węgiel kamienny wydobywany we Francyi w departamentach Niższej Loary, Maine-et-Loire, i w prowincyi hiszpańskiej Asturyi.

Powiedzieliśmy wyżej, że warstwy dewońskie składają się z piaskowców, łupków i wapieni. Piaskowce i łupki gliniaste w tym utworze napotykane, nie mogą nas dziwić, wszelako obecność w nim wapna wymaga objaśnienia [1]).—W materyach mineralnych o których mówiliśmy dotąd, jako o składnikach kuli ziemskiej, przejawiał się tylko granit, to jest mieszanina krzemianów potażu, sody i magnezyi, tworzących tę skałę podstawową. Kosztem związków formujących granit, powstały piaskowce, gliny, łupki warstw pierwotnych i sylurycznych. Nie wspominaliśmy dotąd ani słowa o wapnie, gdyż węglany wapna i związki wapienne, zaledwie występują w pierwszych ławicach mineralnych kuli ziemskiej. Wszelako poczynając od okresu sylurycznego i dewońskiego, węglan wapna stanowi w jego warstwach część główną. Skąd pochodzi ten węglan? Jakie jest źródło tej soli występującej już wyraziście w pokładach dewońskich? Oto pytania na które nam odpowiedzieć wypada.

Przekształcenia skorupy ziemskiej zdarzały się często w pierwszych wiekach istnienia naszej planety. Nietylko granit płynny wylewał się z potężnych szczelin ziemi, lecz z nich niemniej wypływały wody wrzące, utrzymujące w roztworze dwuwęglan wapna, połączony niekiedy z dwuwęglanem magnezyi. Istne rzeki wapienne wytryskały w ten sposób z głębi ziemi, niewyczerpanego rezerwoaru, który dostarczył tego wszystkiego, co dziś powierzchnia naszej planety posiada. Ponieważ wody zalewały wówczas prawie całkiem kulę ziemską, owe rzeki wody wrzącej przesyconej wapnem, wlewały się w fale morskie i z niemi łączyły. W ten sposób morza pierwiastkowo pozbawione związków wapiennych, nasyciły się solami wapna w czasie okresu sylurycznego i dewońskiego. Z tego też powodu, warstwy wytworzone później z osadów morza, przedstawiają, poczynając od formacyi sylurycznej, wiele węglanu wapna. Toż samo zjawisko powtarzało się po okresie dewońskim—zobaczymy później że warstwy wapienne coraz są liczniejsze w późniejszych wiekach geologicznych, których obraz mamy przedstawić. W ciągu okresów jurasowego i kredowego osady wapienne pokryją rozległe płaty ziemi, i wytworzą pokłady dochodzące kilkuset metrów grubości. Ze względu że wody gorące przesycone solami wapiennemi, wytwarzały się już w okresie sylurycznym i dewońskim, należało nam już w tem miejscu podać przyczynę wytworu wapna.

P. Leymerie z Tuluzy, w odmienny sposób wyjaśnia pochodzenie mas węglanu wapna, istniejących w warstwach składających kulę ziemską.

Według poglądu Leymerie, a winniśmy dodać i Cordiera, wody mórz pierwotnych już zawierały w sobie wapno w stanie chlorku wapnia. W okresie sylurycznym, a następnie dewońskim, we wnętrzu ziemi, w rozpadlinach i szczelinach jej powierzchni, zaszły wylewy wód gorących przesyconych węglanem sody. Wody zatem w tę sól zasobne, łącząc się z falami morza wielce naówczas przesyconego według tej hypotezy, chlorkiem wapnia, wytwarzały proces podwójnego rozkładu obu powyższych soli.

W skutek tego rozkładu, z jednej strony wyformował się węglan wapna nierozpuszczalny w wodzie, a z drugiej chlorek sodu w niej się rozpuszczający. W ten sposób powstały osady węglanu wapna bezkształtne i sproszkowane, które przenoszone były przez prądy wodne, osadzające je w rozmaitych miejscowościach i tworzących uwarstwienia.

Taż sama teorya wyjaśnia nam formacyę węglanu magnezyi, a to przyjmując, że morza tego okresu, zawierały w sobie chlorek magnezu.

Teorya p. Leymerie, przyznać potrzeba, zaleca się niepospolitą prostotą, i wyjaśnia przedziwnie powyższe zjawiska geologiczne.

d. c. n.

[1]) Ławice wapienne znachodzimy już w okresie sylurycznym, objaśnienie zatem ich istnienia odnosi się niemniej do tegoż okresu.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XXIII.

Z POSIEDZEŃ U LEKARZA.

4. Mniemane hemoroidy.

z Prof. i D-ra Bock'a, podał St. W. Łukowski.

— Słabość moja, kochany doktorze, dokucza mi już od lat dziesięciu, i bez względu na różnorodne kuracye, odbyte pod opieką najsłynniejszych lekarzy (co powiedziawszy nawiasem, kosztuje mnie dotychczas kilka tysięcy rubli), pogorsza się z dniem każdym. Jest to cierpienie hemoroidalne... Spodziewam się, że słowa te i stos recept jaki tu składam, dostatecznie pana objaśniły.

— Bynajmniej! pan mi prawie nic jeszcze nie powiedziałeś. Profani bowiem i niektórzy lekarze, do rodzaju *hemoroidalnych* odnoszą najrozmaitsze choroby i przypadłości w różnych częściach ciała. Dla tego uważam za konieczne prosić pana, abyś mi raczył opisać swe cierpienia językiem pospolitym, bez wyrażeń lekarskich.

— Posłuchaj więc pan. W młodości byłem *zolzowaty*, a potem cierpiałem bardzo na *gościec*.

— Za pozwoleniem łaskawy panie. *Zolzy* (skrofuły) służą za straszydło, na które spędzają prawie wszystko, co się tylko przytrafi dzieciom; *zolzowatemi* zowią zarówno dzieci z blond włosami, niebieskiemi oczyma, nabrzmiałym nosem, grubemi wargami i dużym brzuchem, jak i dzieci chude, z krzywemi nogami, zaczerwienionemi oczyma i strupami na głowie; do *zolzowatych* zaliczają w dzieciństwie wszystkie długotrwałe wysypki skórne, cierpienia stawów, choroby głowy, zaburzenia w trawieniu, obrzmienia gruczołów i t. d. Co się zaś tyczy pańskiego *gośćca* (reumatyzmu), to wyraz ten, użyty przez profana, jest dlań tyleż pewno niezrozumiały, co i wy-

raz *choroba*, a zatem nie objaśnia on wcale lekarza. Zostaw pan lepiej na stronie swą przeszłość, i racz mi wymienić główniejsze dolegliwości, które obecnie mu dokuczają.

— Skoro tak, to powinienem przedewszystkiem wyznać panu, że jestem bardzo *nerwowy*.

— Tego również nie rozumiem. *Nerwowemi* mianują się niektóre damy wówczas, gdy z powodu gniewu, zazdrości, kaprysów i t. p. wykrzywiają się w taki sposób, że daleko stosowniej byłoby nazwać je *grymaśnemi*. Czy pan nie mógłbyś objaśnić mnie w słowach jak najprostszych, gdzie mianowicie czujesz ból? Czy nie cierpisz pan na głowę, na brak tchu, albo też na upośledzone trawienie?

— Nie, nic podobnego nie doznaję. Tracę tylko dużo krwi przy wypróżnieniu, a więc mam....

— Chcesz pan zapewne powiedzieć, że masz hemoroidy! Dobrze, niech i tak będzie nareszcie. Spodziewam się jednak, że poprzedni lekarze uważnie pana wpierw zbadali (t. j. obejrzeli miejsce krwawiące), zanim wyżyłeś pan tyle lekarstw i zwiedziłeś tak wiele źródeł mineralnych.

— Ani jeden z nich nie uczynił tego. Wszyscy natychmiast uznali moje cierpienie za hemoroidalne, i przepisywali mi jedni te, drudzy owe środki i kąpiele.

— Byli to więc bardzo niesumienni lekarze! Żebym zaś i ja nie został do nich zaliczony, pozwól pan przedewszystkiem wynaleść źródło krwotoku, gdyż bez wątpienia, wszystkie dawniejsze cierpienia pańskie były skutkiem nadmiernej utraty krwi, a zatem niedokrwistości. Potwierdza to przynajmniej biała, nieco woskowata, błyszcząca barwa pańskiej skóry, z przeświecającemi, delikatnemi, czerwono-fioletowemi żyłkami na rękach, bladość warg, dziąseł i zewnętrznej powierzchni powiek, oraz osłabienie połączone z mocnem biciem serca.

I cóż się okazało po dokładnem zbadaniu naszego pacyenta? Nie znaleźliśmy żadnego śladu obrzmienia hemoroidalnego, żadnych guzów krwawiących, lecz przeciwnie, na mocno zapalnej obrzmiałej i rozmiękczonej błonie śluzowej prostnicy, widoczne było miejsce owrzodzone, krwawiące z mnóstwa drobnych ranek. Inne narzędzia pacyenta były zupełnie zdrowe, tylko tu i ówdzie występowały oznaki znacznej niedokrwistości.

I cóż było wynikiem tego badania? Oto po upływie kilku tygodni, chory, który cierpiał od lat dziesięciu, i bez względu na swój ogromny majątek, wlókł pełen dolegliwości żywot, teraz przy pomocy miejscowego leczenia (głównie kamieniem piekielnym czyli azotanem srebra), całkiem wyzdrowiał i odzyskał swe siły oraz kwitnącą cerę. Rozumie się, że ów pacyent, jak to po większej części zdarza się w podobnych wypadkach z sumiennym lekarzem, dla powetowania choć w części wydanych poprzednio bezużytecznie pieniędzy, wręczył swemu wybawcy, za pomienione radykalne wyleczenie, jak najlichsze honoraryum. Gdyby zaś jakiś szalbierz, przed rozpoczęciem kuracyi przyrzekł wyleczyć go na pewno i w krótkim czasie, lecz jedynie za bardzo wysokiem wynagrodzeniem, wtedy ten sam sknera, z radością zaiste zgodziłby się natychmiast na podobny warunek. W ogóle chorzy, dopóki cierpią, są bardzo hojni w obietnicach dla swego lekarza, lecz później, kiedy rzeczywiście wrócą do zdrowia, dzięki pomocy lekarskiej, pamięć ich słabnie pod tym względem. Wtedy płacą oni według liczby wizyt, nie zaś według ważności doznanej przysługi, pomijając to z uwagi, że lekarz większą część swego czasu poświęca bezinteresownie niezamożnym chorym.

W zakończeniu niniejszego artykułu, o tak zwanych *hemoroidach*, wypada nam nadmienić, że wiele obrzmień i krwotoków, w tem miejscu, gdzie zazwyczaj zjawiają się hemoroidalne guzy, nie należą bynajmniej do rodzaju hemoroidalnych i dla tego wymagają dokładnego zbadania a szczególniej obejrzenia odbytu zaraz po wypróżnieniu, ażeby mogły być prawidłowo leczone.

ZA SZCZĘŚCIEM.

(NOWELLA)

przez

P. Heysego.

(Dokończenie).

Przycisnął jej rękę do ust, i mocno wzruszony sam pozostał. Kiedy nazajutrz kelner przyszedł go obudzić, zastał go w ubraniu śpiącego na kanapie. Ocknął się natychmiast zamknął kufer i oddał go gospodarzowi, aby go u siebie zatrzymał, aż do jego powrotu, lub też odesłał mu stosownie do zlecenia. Do pocztowego powozu wziął tylko lekką walizę, i odjechał w piękny słoneczny poranek, nie zobaczywszy się z Leną ani razu.....

Po owej rozmowie upłynęło pięć albo sześć dni, kiedy wieczorem przy odgłosie wesołej trąbki zatrzymała się przed „Białym kogutem“ ekstrapoczta, i wysiadł z wielkiem uszanowaniem przez gospodarza przyjęty znany nam gość, który natychmiast zapytał, czy wolnym jest jego dawny pokoik i czy się w domu nic nie odmieniło. Jedyna odpowiedź, o którą mu szło, czy Lena jest tu jeszcze? gdy wtem ujrzał ją samą na dole w przedsionku, jak rozmawiała poufale z jakąś niemłodą panią, która widać przyszła do niej z odwiedzinami. Gdy usłyszała głos swojego przyjaciela, pobladła widocznie, o tyle jednak zapanowała nad sobą, iż odpowiedziała na jego powitanie tak samo, jak się odpowiada zwykle gościowi zajeżdżającemu z powrotem. On również unikał z nią natychmiastowej rozmowy, lecz cierpliwie wyczekiwał nocnej godziny. Gdy jednak mijała godzina dziewiąta, a ona koło drzwi jego nie przechodziła, umyślił powiedzieć dziewczynie służebnej, że z powodu bielizny ma dać zlecenie, i dla tego chciałby o tem z Leną pomówić.

Wkrótce potem weszła do niego. Widział dobrze jak napróżno starała się ukryć swoje zakłopotanie.

— Czy w istocie pan wróciłeś — rzekła— i do tego sam jeszcze? To już nie moja wina, jak się spodziewam, że pan będąc tak bliskim swojego szczęścia, pozostałeś na niego ślepym?

— Nie — odrzekł serdecznym głosem, owszem, szeroko roztwierałem oczy i rozpatrywałem się jak mogłem najlepiej, a jeśli mi łuszczka z oka spadła, to już wina innej osoby. Moje tak zwane szczęście zupełnie inaczej wygląda z dolnego brzegu Dunaju, niżeli tysiąc stóp nad poziom morza, wśród świetnych lodowisk lub w chacie alpejskiego pasterza.

— Czy się już panu nie podobała?

— Owszem, ale samej sobie jeszcze więcej, co wszakże za jej smakiem przemawia, gdyż rzeczywiście jest najpiękniejszą dziewczyną w całem mieście. Szkoda tylko, że nad to, wszystko inne jest dla niej obojętną rzeczą, a na tem mi właśnie wiele zależy. Gdy odwiedziłem ją niby przypadkowo, to z taką pewną siebie przyjęła mnie miną, jak astronom obserwujący początek zaćmienia księżyca, które obrachował co do minuty. Zdawało się jej, że jak świat długi, nigdzie bez niej wytrzymać nie można, i Bóg wie, co na nią wpłynęło, iż ze wszystkich swych ofiar mnie właśnie swą łaską zaszczycić raczyła. Że taki był jej zamiar, wnet to poznałem z całego jej postępowania, oraz ze sposobu, w jaki mnie powitali rodzice. Nie jestem tak próżny, abym to szczęście przypisywał swoim szczególnym przymiotom, lecz sądzę raczej, iż wybrano mnie jako najpowolniejszego i najpoddanniejszego ze wszystkich wielbicieli, uważałem się też jako prostą cyfrę, którą dodano do rachunku na zimno ułożonego. I na tyle wkrótce zdobyłem się swobody, iż wesoło wszystkiemu się przypatrywałem; podziwiałem piękną istotę, która wydała mi się pięknem mistrzowskiem dziełem wystawionem na okaz w galeryi obrazów, i gdy studyując je pod pewnym względem, polecałem się dalszym względom, rachunek przez jego właścicieli został przekreślony. Litościwe nieba! jak sobie pomyślę, że w jakiej niebacznej chwili mógłbym się był złapać, a teraz to pełne pretensyi kosztowne pieścidełko wieść do mojego cichego domu, do mojej dawnych obyczajów matki.... ot wtedy byłbym najnieszczęśliwszym człowiekiem w świecie, gdy tymczasem teraz......

Zatrzymał się i badawczo spojrzał na jej twarz. Magdaleno — rzekł z cicha — wszakżeś mnie nie bez nadziei pożegnała. Miałżebym przez te dni kilka stać się dla ciebie znów obcym człowiekiem?

— Nie — odrzekła — wiem, że nigdym nie miała lepszego przyjaciela od pana, i dla tego właśnie uważałabym sobie, jakby za zbrodnię, jeślibyś z mojej winy nie był tak szczęśliwy, jak na to zasługujesz...

— Zostaw już szczęście mnie samemu — prosił ją serdecznie. — Jeśli czujesz w sobie coś, co ci przyrzeka, że z czasem żyjąc obok mnie, pozbędziesz tego, co cię uciska....

— Otóż to właśnie, przerwała mu i z gorzkim uśmiechem spojrzała przed siebie. Są rzeczy, których się pozbyć nie można. Cóż pan powiesz, że ja noc w noc jak się stąd wydaliłeś, wciąż o nim śniłam? Wyznaję to panu, iż jak tylko cię zobaczyłam zauważyłam jak jesteś odmiennym od innych ludzi, że zbliżasz się do mnie bez pomieszania i skromnie, coś mi w sercu za tobą przemawiało. Gdybym tyle nie

doświadczyła i tyle nie wycierpiała, to sądzę żebym pana kochała z całej duszy. Ale to widać taki porządek, iż toby nie dało umarłemu spokoju, czy z zazdrości, czy przez zemstę musiałby zniszczyć moje szczęście, a wiem, że mi je zniszczy. Dla tego proszę pana, porzuć mnie. Wierz mi pan, że to lepiej dla nas obojga.

— Nie! — zawołał — po co te myśli, to zwątpienie! Jesteś moją, Magdaleno, do nikogo nie należysz ani do żywego, ani do umarłego, tylko do mnie, a więc nikt do ciebie nie będzie się śmiał zbliżyć, gdy raz poznasz, co prawdziwe szczęście! Zaufaj mi, jak sam sobie ufam, że cię uleczę ze wszystkich tych wspomnień, które cię dręczą. Moja najdroższa! Moje ty prawdziwe szczęście!

Pociągnął ją ku sobie, przycisnął do piersi i pocałował ją w nieme usta, a ona już mu żadnego nie stawiała oporu. Lecz nagle poczuł, jak zadrżała wszystkiemi członkami i usta jej się rozwarły.

— Co ci takiego? zawołał pomieszany.

— Cicho! — rzekła i zaczęła nadsłuchiwać.

— Czy nie słyszałeś pukania?

— Gdzie? Nic nie słyszałem. Któżby....

— A jednak, ktoś pukał do drzwi trzy razy i to jednym palcem..... a znam go dobrze. Widzisz, że mam słuszność? Nic z tego być nie może.

Starał się ją wszelkiemi sposobami uspokoić, i udało mu się wreszcie przez najczulsze słowa i upewnienia przekonać, że wszystko przesąd i przywidzenie. Dała się nawet do tego stopnia nakłonić, iż usiadła przy nim na sofie, lecz od każdej pieszczoty wypraszała się ze smutnym uśmiechem, przytem ciągle oczy zwracała na drzwi, jakby się lękała żeby się one nie otworzyły. Widział to dobrze i zaniepokoił wielce. Spodziewał się jednak, że nowe otoczenie uwolni ją od podobnych wpływów, rzekł więc do niej, że zaraz jutro razem odjadą. O tem ona ani słuchać chciała. Zgodzili się wreszcie na to, że on wprzód pojedzie do domu, opowie matce wszystko nic nie ukrywając, i pozyska jej przyzwolenie. Któż to wie — rzekła — czy zechce mnie przyjąć jak się dowie o całej mojej historyi, i posłyszy że mnie wyswobodziłeś z zajezdnego domu. Wyrachowała dokładnie dzień, w którym miał powrócić, aby ją zabrać z sobą. Ponieważ to miało nastąpić po Zielonych świątkach, a ona dłużej w tym domu pozostać nie mogła, chciała więc przez ten czas zamieszkać u pewnej starej mieszczki, której córkę uczyła delikatnych robótek kobiecych. Wdowa jest dla niej wielce przychylną, i teraz sama mieszka w domku nad Dunajem, gdyż jej córka niedawno wyszła za mąż i przebywa na prowincyi. Potem musiał jej opowiadać o swojej matce, o domu, o interesach, o rodzaju życia, jakie pędził w swem rodzinnem miejscu; słuchała tego wszystkiego cicho, prawie wesoło; jej ręka w jego ręku spoczywała, lecz oczy wciąż miała spuszczone, kiedy niekiedy czoło się jej marszczyło, jakby ją jakaś myśl niepokoiła. Wreszcie powstała i pożegnała się z nim uściśnieniem ręki.

— Chętniebym cię pocałowała, rzekła, ale lękam się. Inaczej będzie, gdy błogosławieństwo nad nami wyrzeczone będzie. Przynajmniej tak się spodziewam.

Przykro mu było, że w ten sposób z nią się rozstawał, ale sam widział jej wewnętrzną walkę, i chciał jej oszczędzić jakiego nowego przerażenia. Tylko na samym progu mocno przycisnął ją do piersi i przeciągle w oczy zanurzył spojrzenie. Tu jest jakieś ciemne miejsce—rzekł sobie w duszy — rozświecimy je. Śpij słodko, moja żono.

Dotknął spragnionemi ustami jej policzków i puścił rękę. Potem poświecił jej, i roskoszował się widokiem jej cudnej postaci, jak rękami i oczami z nim się żegnając zeszła po schodach do przedsionku, przed swoim pokoikiem jeszcze się zatrzymała, wyszeptawszy cicho: „dobranoc!“

Dobrze się wywiedziawszy, gdzie leży dom wdowy, nazajutrz zaraz się tam udał. Był-to dom jeden z najstarożytniejszych w mieście, wysoko podmurowany, stał nad samym Dunajem, który w czasie wezbrania wody wciskał się zwykle w dolne piętro. Od ulicy były duże drzwi zamykające sień sklepioną w łuki ozdobione rzeźbiarską robotą; zamiast dzwonka wisiał duży młotek żelazny, niby język wychodzący z lwiej paszczęki. Wewnątrz wszystko było wygodnie i biało, a sama gospodyni ze swojem wesołem usposobieniem wydała się mu najstosowniejszą towarzyszką dla jego melancholicznej narzeczonej. Przypuścił ją do tajemnicy i polecił jej opiece gościa, wręczając pieniądze na wszystkie potrzeby; tak aby jej na niczem nie zbywało. Zrazu poczciwa kobieta ani chciała słuchać o pieniądzach, utrzymując, że ona jej daleko więcej zawdzięcza, że z serca ją to cieszy, iż do niej udać się zechce. Potem rozpływała się w pochwałach, które nader były przyjemne narzeczonemu, chociaż nic nowego się nie dowiedział. Na odchodnem prosił ją tylko, aby czuwała nad jego narzeczoną i nie dała jej dręczyć się i smucić rzeczami, które są próżnem przywidzeniem.

— W każdym razie, rzekł w końcu, za kilka dni wrócę, wtedy spodziewam się, że ją weselszą zastanę.

Kobieta przyrzekła najtroskliwiej ją pielęgnować, i uszczęśliwiony narzeczony wrócił do hotelu, aby jeszcze przed południem udać się w podróż do domu. Dziewczyna sama nalegała o to z jakimś dziwnym pospiechem, na który przecież nie zwracał uwagi, sądząc iż tu idzie o rychlejszy jego powrót. Przed ludźmi domowemi musieli sobie przymus zadawać, tym sposobem wsiadł do powozu bez pożegnania, jak sobie życzył.

O tej jego podróży nie mamy co do nadmienienia; bez żadnego przypadku wrócił do matki i po należytem wyspowiadaniu się otrzymał jej błogosławieństwo dla nowej narzeczonej, nie z taką wprawdzie radością jak się spodziewał, ależ trudno tego było wymagać, gdyż rozsądnej staruszce nie wszystko w tak różowych przedstawiało się kolorach, jak jej zakochanemu synowi, jednakże z całego serca dała pozwolenie, gdyż miała tyle w nim ufności, iż nie zrobił wyboru, któryby nie był jego godnym. Sama przyspieszała jego odjazd i zgodziła się chętnie, gdy przyszło mu do głowy wziąć konie pocztowe do pięknego nowego powozu, który niedawno sprawił dla matki, ponieważ lekko niósł na resorach. Jedną tylko noc zabawił w swoim domu, tak właśnie jak się umówił z Leną i wyruszył w podróż powrotną do Regensburga, ujeżdżając dziennie znaczny kawał drogi.

Jakże mu biło serce, gdy ostatniego poranku wstawszy, powiedział sobie, już tylko dwanaście godzin jazdy oddziela go od jego szczęścia. Nie pisał do niej, bo list nadszedłby dopiero po jego przybyciu na miejsce. Jakże roskosznem wyobrażał sobie powitanie, z ukochaną po tym krótkim czasie próby, jakże był niecierpliwy, wioząc z sobą dobre nowiny od matki, spędzić ostatnie cienie z jej twarzy i bez żadnych już względów i powstrzymań objąć ją w swoje ramiona, jako swoję ukochaną własność!

Przez hojne datki naglił pocztylionów do pośpiechu, w południe zaledwie sobie pozwalał naprędce przygotowanego posiłku. Wyrachowali oboje, że o siódmej godzinie wieczorem będzie mógł przybyć, jeśli wszystko pójdzie dobrze, i ekstrapocztą puści się w podróż. Teraz spodziewał się, że z parę godzin zyska i wcześniejszym powrotem miłą jej zrobi niespodziankę. To też ani na chwilę nie obałamuciło go to, gdy mając zaledwie dwie stacye przed upragnionym celem, przy szalonej swej jeździe, przednie koło u powozu pękło, i pocztylion oświadczył, że nie podobna w tej okolicy znaleść zapasowego koła, coby przydatne było do tak wykwintnej roboty. Znajdowali się w okolicy zaludnionej, gdzie nie trudno było nająć pod siodło dobrego konia chłopskiego, a powóz tymczasem zwolna sprowadzić na miejsce. W jakie pół godziny po tym wypadku, niecierpliwy kochanek już usadowił się na siodle i spinał ostrogami dzielnego podjezdka, nagląc go do szybkiego kłusa, aby odzyskać czas utracony. Przez czas jakiś trzymał się gościńca. Potem, widząc, że tenże w łuk się zagina i znów się odgina, postanowił puścić się prostą drogą, którąby mu kawał czasu oszczędziła. Jakoż w pięć minut znalazł się znów na gościńcu, po którym, zatopiony w marzeniach, bez wielkiego namysłu, puścił się dalej. Dopiero gdy się ściemniło i gwiazdy powystępowały, postrzegł się przerażony, gdy gościniec widocznie skierował się na południe. Spotkany wieśniak utwierdził go, iż na jaką godzinę drogi zboczył z gościńca wiodącego do Regensburga. Przeklinając swój błąd, wśród nocy puścił się jak szalony, że aż zimny pot wystąpił mu na czoło. Nie umiał sobie wytłómaczyć dla czego straszny niepokój go ogarnął. Wszak jego szczęście było dobrze zachowanem, cóż to więc znaczy, jeśli o parę godzin wcześniej lub później przybędzie?... W miarę jak się zbliżał do miasta, uspakajał się coraz bardziej. Gdy wreszcie postrzegł na tle nocnego nieba wystającą wieżę katedralnego kościoła, zwolnił nieco biegu swojemu pianą okrytemu koniowi, i sam odetchnął swobodniej. Jeszcze było dość wcześnie, aby odwiedzić narzeczoną, jeszcze nie wybiła dziewiąta godzina. Jeśli choć trochę tęskniła ona za nim, z jakąż błogością rzuci mu się teraz na szyję. Wesoło też przebywał ostatni kawałek drogi, a stanąwszy w miejscu, skierował ko-

nia ku nadbrzeżnej ulicy, dość skąpo olejowemi latarniami oświetlonej i prawie bezludnej. Odgłos kopyt końskich zwabił tu i ówdzie ciekawą twarz do okna, ale nikogo niepostrzegł komuby dać mógł konia do potrzymania, gdy stanął przed domkiem wdowy. Zeskoczył z siodła i przywiązał cugle do jakiegoś żelaznego kółka w murze, które dawniej ku temu celowi służyło, i zakołatał mocno żelaznym młotkiem do drzwi zamkniętych. Dziwiło go, że tak długo czekać musi. Dopiero gdy po raz trzeci silnie zakołatał, posłyszał kroki na schodach i klucz obracający się we drzwiach, a wreszcie ujrzał twarz poczciwej staruchy, która go powitała z widocznem zakłopotaniem.

— Ach! to pan! — zawołała kobieta. — Chwała Bogu, żeś pan przybył! Ja sama inaczej nie myślałam, pan wiesz, tam jest coś....

— Co słychać? Co robi moja narzeczona? — przerwał tę gadaninę i wbiegł do domu. — Nic się złego nie stało?... Dla czego masz pani tak nieszczęśliwą minę?

— Nic się nie wydarzyło — odrzekła stara, a teraz kiedyś pan przybył wszystko będzie bardzo dobrze. Oj! nie mało miałam kłopotu z kochaną Leną, a dziś było najgorzej!. Czy dasz pan temu wiarę, że ani jednej nocy nie przespała pod moim dachem? Nie chciała się przyznać do tego, ale ja nie sypiam już po nocach, dobrze więc ją podsłuchiwałam, jak leżąc w łóżku, rozmawiała sama z sobą i płakała. Wchodziłam wtedy do niej, lecz nic się od niej dowiedzieć nie mogłam, jak tylko że jej straszno i że nie może się rozgrzać pomimo kołdry i pierzyny. Wstawała wtedy i przy świecy brała książkę albo robotę do ręki. Potem było jej lepiej, co dzień znośnie aż do dziś, lecz już od rana nigdzie spokoju znaleść nie mogła. Gdy siódma wybiła, a pan nie powróciłeś jeszcze, wtedy powiedziała:—dobrzem ja wiedziała, że to być nie może.—Co być nie może, kochana pani Leno, zapytałam jej i usiłowałam wypędzić jej z głowy wszystkie banialuki i przywidzenia, a przy tem porządnie ją wyłajałam, że w tak zacnym jak pan człowieku nie pokłada zaufania.—Oh, odpowiedziała, jemu ufam, ale nie sobie. I pocóż mam znów innego nieszczęśliwym uczynić? Ale bądź pani spokojną, matka nie da swojego przyzwolenia, i to będzie dla niego najlepiej.—Czy go pani nie kochasz, zapytałam. A ona: — Z całego serca, powiedziała, ale tak uroczystym tonem, jakby przed ołtarzem, lecz potem nagle się wstrząsnęła i rzekła:—Czy pani nic nie słyszysz? — Nie, odpowiedziałam, a cóż mam słyszeć? — Pędzi tu koń, rzekła, ale jest jeszcze daleko. — A jak może być daleko? — Jeszcze na dobrą godzinę. — Ach, zawołałam, jakże masz pani słuch delikatny! a potem starałam się ją zagadać, aby innemi myślami się zajęła; mówiłam jej o mojej zamężnej córce, iż może ją odwiedzi w czasie poślubnej podróży, jak przyjemne życie będzie pędziła.... a ona spokojnie wszystkiego słuchała, niekiedy tylko robiąc zapytanie:—Czy wciąż nic pani nie słyszysz? A kiedym jej powiedziała, że nie, znów milczała. Naraz zerwała się z krzesła: — Teraz! o teraz już jest blisko! zawołała. I rzeczywiście posłyszałam i ja także odgłos kopyt końskich, i powiedziałam: — A istotnie, to koń, ale cóż w tem dziwnego?— Zmierza wprost do naszego domu, rzekła. Zatrzymuje się! O Boże, jam to wiedziała! Ani słowa z tego wszystkiego nie rozumiałam, co ona myśli, ale jakeś pan zapukał na dole, to nie wiem, jak to się stało, mnie samą zimny dreszcz przejął.—Ależ to zapewne pani narzeczony, rzekłam.— Pójdę mu otworzyć.— Na miłość boską, nie schodź pani, zawołała wstrzymując mnie z rozpłomienioną twarzą, nie schodź pani na dół, nie otwieraj! —Dla czego? zapytałam. Mamże przed pani narzeczonym dom zamykać? — A czy wiesz, że to on jest? — zapytała cichym głosem, wierz mi pani, to kto *inny*... — Kto? zapytałam. Ale ta wstrząsnęła tylko głową, a kiedy pan wciąż stukał, prawie przez siłę z jej rąk się wyrwałam i wybiegłam z pokoju. Teraz widzisz pan sam, jak wypada ci z nią postąpić. Nie śmiałabym bez pana wejść na górę.

Wielkiemi krokami, nie czekając aż mu kobieta poświeci, skoczył na schody i wpadł do pokoju.

— To ja jestem, Leno! — zawołał. To ja!... Teraz już nas nic nie rozłączy......

Na stole stała lampa, na odsuniętem krześle leżała jej rozpoczęta robota.

—Poszła do swojego pokoiku —rzekła gospodyni, która za nim weszła. — Leno! zawołała i zaświeciła do przyległego pokoju. — Dla czego się pani ukrywasz? Przyprowadzam ci twego narzeczonego całego i zdrowego.

Żadnej nie było odpowiedzi! Nie odpowiedziano im również w żadnym pokoju i pokoiku, które razem aż pod strychem przebiegli.

— Ależ ona musi być w domu — zawołał pomieszany. Przebiegłaby koło nas po schodach, gdyby wyszła z domu.

Staruszka stanęła jak wryta, ręce jej zadrżały, wypuściła z rąk świecę.

— Miłosierny Boże! ależ to niepodobna! zawołała ze stłumionym oddechem, i łzami napełniły się jej oczy.

— Pan nie wiesz, że jest jeszcze jedno wyjście z domu, ale to prowadzi.... wprost do Dunaju.

Krzyknął jakby rażony kulą w serce. Jak szalony rzucił się do drzwiczek, które mu nic nie mówiąc, palcem wskazała i zbiegł po wąskich kamiennych schodkach. Tu stanął nad brzegiem połyskującej, ciemnej głębi, i w rozpaczy rozpatrywał się wśród nocy, gdy fale podpływały mu pod nogi. Kobieta przywlekła się za nim.

— Czy pan co widzisz? — zapytała stojąc za nim i lampą rozświetlając znaczną przestrzeń rzeki. On nic nie odpowiadał. Nagle wstrząsnął się. Wyrwał lampę z rąk starej i przechyliwszy się wzniósł światło do góry. Po chwili cofnął się szybko, zrzucił buty i surdut i bez namysłu rzucił się w rzekę.

Niedaleko od brzegu wynurzyła się ręka, potem twarz po szyję, i gdy wytężając wszystkie siły podpływał do owego miejsca, sądził iż wyraźnie postrzega, jak otwierają się oczy i usta, niby wzywając pomocy. Zawołał na nią, i zdało mu się, iż odwróciła nieco głowę ku niemu.

Z podwójną siłą przecinał fale, gdyż widział, iż znów jej postać zaczęła pogrążać się w wodzie. Wystawało tylko jej czoło białe. Dosięgnął ją wreszcie i na chwilę zanurzył w wodzie, aby nieprzytomną schwycić na ramiona i z nią wypłynąć. Jakoż udało mu się, i sądził, że wszystko dobrze się skończy. Spuszczona jej prawa ręka, szukając punktu oparcia, konwulsyjnie schwyciła go za szyję, ociężała jej głowa spoczywała na jego plecach, rozpuszczone jej czarne włosy zanurzały się w wodzie, i gdy tak razem płynęli, poczuł, iż życie i siła woli drga we wszystkich jej członkach. Lecz bystry nurt rzeki oddalił go od brzegu, a ciężar jej ciała przeszkadzał mu w swobodnem użyciu ręki. Spojrzał na pobliską wyspę i dojrzał tam światła i łodzie. Kilka razy krzyknął w tamtą stronę, aby pospieszyli i przypłynęli do niego. Nie był pewnym czy go usłyszano; nasunęła mu się myśl: Już po wszystkiem! I nie przeraziło go to wielce; wydawało mu się to rzeczą bardzo naturalną, aby rzeka stała się grobem jego szczęścia. Gdyby ją wyratował i na ląd wyniósł, a ona znów przed nim uciekła, cóżby mu było po życiu? Gdyby choć słówko od niej usłyszeć na pożegnanie.—Leno! zawołał z cicha, gdy woda pędziła ich ku mostowi. Zdawało mu się, jakby poruszyła się ręka koło jego szyi. Zdawało się, że oprzytomniała nieco. Lecz w śmiertelnej trwodze coraz bardziej cisnęła się do niego, przez co tamowała jego poruszenia; i gdy przywiedziony do rozpaczy usunąć usiłował rękę, która go dusiła, poczuł jak fala go zalewa i spada w przepaść ze swoim ciężarem. . . . .

Gdy odzyskał nieco przytomność, poczuł najprzód jakąś nieokreśloną przyjemność, że już nie otacza jego skroni odmęt wodny. Leżał gdzieś w miękiem i ciepłem miejscu, skórę miał bardzo rozpaloną, i długiego potrzebował czasu, zanim mógł otworzyć oczy, gdyż wciąż mu jeszcze huczało w głowie, a pierś z trudnością oddychała. Dopiero gdy zasłyszał głos poczciwej wdowy, i wyraźnie przy swoim łóżku jej twarz rozpoznał, zwolna odzyskał pamięć.

— Gdzie Lena? — zapytał wreszcie.

Staruszka wskazała na oboczny pokój.

— Bądź pan bez obawy — rzekła. Bogu dzięki, odzyskaliśmy was oboje. Ale ileś pan nabawił nas trwogi i kłopotów!

Teraz opowiedziała mu, iż jak tylko postrzegła, że skoczył do wody, odwiązała sama łódkę, jaką miała przy schodkach i wołała na niego, aby na nią zaczekał. Ale on jak ryba popłynął, a ponieważ sama nie bardzo mogła władać wiosłem, więc daleko woda ją zapędziła. Wzywała więc na pomoc ludzi będących na moście, którzy na szczęście ją postrzegli, i dzięki Bogu na czas jeszcze z obudwu brzegów łodzie z pomocą nadbiegły; nie było jeszcze zapóźno gdy ich wydobyto. Wprawdzie po długich obawach i staraniach, oboje zaczęli okazywać znaki życia. Wezwała nawet lekarza, ale gdy ten przybył, oboje oddychali już swobodnie, tak iż żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Teraz powinien się tylko spokojnie zachować. Wszak nie mało nałykał się wody. Lecz później, jeżeli będzie chciał wstać, to ma obok siebie kompletne ubranie jej nieboszczyka męża, gdyż jego

od dwudziestu czterech godzin jeszcze nie wyschło, a nawet koszulę ma na sobie jej męża.

Teraz dopiero postrzegł, że cały zanurzony jest w pościeli i leży na sofie w jej pokoju, a w około widoczne jeszcze ślady zamieszania, jakie spowodował cały wypadek w cichem wdowiem mieszkaniu. W miejsce słów uścisnął tylko rękę dobrej staruszki i poleżał jeszcze czas jakiś, pogrążony w marzeniach. Potem rzekł: — proszę zostaw mnie pani na chwilę samego, sprobuję powstać.

Pomimo jej odradzań, uparł się przy swojem, i skoro tylko go opuściła, zrzucił wszystkie ciężkie pierzyny, i zdziwił się, że po tem wszystkiem co go spotkało, czuje tylko lekkie osłabienie ciała. W mgnieniu oka się ubrał i z bijącem sercem posunął się ku drzwiom, za któremi spoczywało jego najdroższe szczęście. Wszedł bez zapukania. Tu leżała ona piękna i blada w swojem łóżeczku, rozrzucone jej czarne włosy pokryły całą prawie poduszkę, zwróciła ku niemu łagodne spojrzenie. Stara siedziała przy niej, a prócz tego był tam lekarz powiatowy, którego jeszcze pod „Białym kogutem“ poznał. Gdy wszedł narzeczony, twarz jego ukochanej pokrył śliczny rumieniec i na ustach zawitał tak miły uśmiech, jakiego przedtem nigdy u niej nie widział. Milcząc spoglądali na siebie.

— Winszuję panu z całego serca — rzekł stary lekarz w nawpół tajemniczym tonie, podając młodzieńcowi rękę. — Przypatrz się pan tej twarzy. Wskoczenie do kąpieli cudów dokazało, powiadam panu. Czy nie prawda, moje dziecko, mówił dalej zwróciwszy się do Leny, teraz to zupełnie inaczej wygląda, żadnych przywidzeń, żadnych czarnych plam, wszystko w najlepszym porządku. A teraz jestem tu zbyteczny, życzę wszystkim najprzyjemniejszego spoczynku.

I rzekłszy to odszedł. Gospodyni towarzyszyła mu z lampą, aby poświecić na schodach.

Kochankowie pozostali sami.

— Leno! — rzekł przystąpiwszy bliżej i ująwszy ją za rękę — czy mogę temu wierzyć, że już się więcej nie zgubimy?..

Zamiast odpowiedzi uściskała jego rękę i serdecznym wzrokiem spojrzała mu w oczy.

— A przecież, chciałaś uciec przedemną, dodał z cicha...

— Nie przed tobą, ale przed cieniem. Teraz już wszystko minęło. Spojrzyj na moję rękę: pierścionek, który na moje udręczenie tak długo nosiłam, zniknął już. Leży on na dnie rzeki i nigdy nie ujrzy światła dziennego.

— I nie lękasz się już mnie pocałować?

— Nie, nie, odpowiedziała. Wyciągnęła obiedwie ręce i gorącym uściskiem tuliła do swojego serca. Que je vous aime! szepnęła. Usta jego połączyły się z jej ustami.

KONIEC.

UŻYTKI Z ROŚLIN.

Godowe szaty przyrody. — Mchy i torfowce. — Wrzosy. — Użytki z lasów. — Z leśnej kroniki Powiśla. — Rośliny obfitujące w mączkę — Flora zasobna w białko. — Wyskoki roślinne. — Mleko z drzewa. — Cukier i alkohol. — Śliwowica. — Ocet. — Przyprawy kulinarne. — Koka. — Konsumenci opium. — Narkotyki. — Wpływy haszyszu na organizm ludzki. — Prymki, tytuń i tabaka. — Grzyby jadowite. — Gałucha i upas. — Trucizny zmieniające się w leki. — Kamfora i balsamy. — Trucicielki pasożytów naszego organizmu. — Rośliny wydające tkaniny. — Papier roślinny. — Barwniki. — Kauczuk i gutaperka. — Olejki i masła. — Garbnik. — Rośliny wielodajne. — Flora niezbędnym warunkiem życia. — Smutny horoskop dla przyszłych mieszkańców ziemi. — Odległość straszliwej dla nas katastrofy.

Przyroda dziwnie pięknym płaszczem przyodziała ziemię! Wiosna rozpościera przed nami pyszny kobierzec zieloności, który z misternym artyzmem przetyka wzorzysto różnobarwnym kwieciem. Lato zarzuca pola milionową armią roślin zbożowych; złotą pszenicą i srebrnem żytem. Jesień zasila nas różnorodnym owocem i flora rozpoczęła swe dzieło. Pomona je kończy. Jedna zima po macoszemu postępuje z roślinnością, ogałaca drzewa z liści, murawę z zieleni, zagłusza życie i pokrywa je śnieżnym grobowym całunem. Już nas nie nęcą lasy cieniem, pola kłosem, powietrze wonią macierzanki, wzdychamy wpatrując się w ten obraz martwoty za wiosną, za jej ponętnemi wdziękami. Podziwiamy piękno w naturze. Lecz może nigdy nie zdawaliśmy sobie dokładnej sprawy z korzyści, jakie nam przynosi królestwo roślinne. W tej mierze wyręcza nas wiedza przyrodnicza, której karty, dają wymowny zarys tej bogatej skarbnicy z jakiej człowiek użytkuje.

Na nizinach przejętych wilgocią, pleni się *torfowiec* pokrewny mchom, zwany też *borowińcem* (sphagnum). Roślina ta składa się z komórek w których zbiera się woda jakby w rezerwoarze, stąd też cisnąc w ręku torfowiec wypływa z niego woda obficie jak z gąbki. Borowińce rozkrzewiają się z wielką łatwością, utrzymują wilgoć i gromadzą swe szczątki na ziemi która ich żywi. Szczątki te wzrastając corocznie, tworzą ogromne pokłady produkujące torf, szacowny materyał opałowy. Północ więcej niż południe sprzyja rozwojowi torfowisk. Francya posiada bogate torfy w okolicach Candelle, Belgia około Liège.

Gdy grunt nie jest zbyt wilgotnym, torfowce ustępują miejsca mchom, reprezentowanym przez *rokiet* (hypnum triquetrum), *płonnik* (polytrichum commune) i inne gatunki zachowujące wilgoć przy powierzchni ziemi. Mchy krzewiące się w lasach, są rzeczywistemi strażnikami nasion drzew wyniosłych. Nasiona te spadając w jesieni, spędzają zimę pod osłoną mchów i z wiosną znajdują w nich wilgoć potrzebną do swego rozrostu. Gdy zima pozbawi liścia lasy, mchy pochłaniają powietrze i światło, i zdają się nabierać sił do wydania nowych generacyj.

Na gruntach piaszczystych rozradzają się krzewy gałęziste, z kwiatem różowym rzadziej białym, to wrzosy (calluna vulgaris). Wrzos w naszym kraju pokrywa szerokie obszary ziemi, i niekiedy po upływie pewnego czasu, wytwarza warstwę ziemi rodzajnej, zwaną *wrzosówką*. Ziemia ta nadaje się przedziwnie do hodowania roślin ozdobnych. Z wrzosów zbierają miód pszczoły; zaliczamy do nich *chróścinę* (arbutus uva ursi), której liście są używane w medycynie, *drzewo poziomkowe*, (arbutus unedo) z jagodami jadalnemi podobnemi do poziomek, wreszcie *rozmaryn leśny* zwany też *bagnem* (ledum palustre), używany niekiedy do fałszowania piwa, a to celem nadania mu mocy upajającej i inne.

Rośliny sitowate, ciborowate (turzyce i cibory) i trawy, zagarnęły pod swe panowanie łąki i trawniki. *Turzyca piaskowa* (carex arenaria) utrwala piaski lotne i dla tego w Holandyi bywa uprawianą na groblach. Inne rośliny trawiaste, tworzą owe olbrzymie rozległe łąki amerykańskie i azyatyckie, które noszą nazwę pampasów i sawanów. Rośliny łąkowe utrzymują wilgoć, stanowią osłonę ułatwiającą wschodzenie niezliczonych nasion, zbogacają swemi szczątkami ziemię i służą do wyżywienia wielu zwierząt domowych.

Ze wszech roślin towarzyskich to jest żyjących gromadnie, lasy są bezwątpienia najużyteczniejszemi. Karol Müller nazywa je „ministrami królestwa roślinnego.“ Las utrzymuje wilgoć na swych rozłożystych drzewach, nie dopuszcza wodom zalewać dolin, rozprowadza je z oszczędnością jak dobry administrator. Liście drzew leśnych przedstawiają szeroką powierzchnię wilgotną, która nieustannie parując, wpływa na obniżanie się temperatury w danej miejscowości. Dobrodziejstwa takiego oziębienia się atmosfery, przejawiają się zwłaszcza w oddziaływaniu lasów na pobliskie chmury. Para wodna je składająca, oziębiona w skutek ich sąsiedztwa, zgęszcza się i zmienia w wodę, która zwolna schodząc ku ziemi, ożywia doliny, użyznia łąki i zasila źródła. Para wodna zgęszczona przez lasy, nie jestże godnem analizy zjawiskiem? Z tego prostego faktu ileżby można było wysnuć zagadnień dotąd nierozpatrywanych! Azya zachodnia a w szczególności Palestyna, pokryte niegdyś bogatemi lasy, po ich wytępieniu przedstawiają dziś smutne pustkowia; oset i bodyaki zastąpiły miejsce wspaniałych cedrów i palm artystycznych. Piasek zasypał te obszary, rzeki wyschły lub zmieniły się w strumienie; gdzie ongi były miasta kwitnące, znajdujesz obecnie tylko osady błotne, bezludne. Handel znikł, próżniaczy arab, włóczęga, przebywa dziś tylko w tych samotnych okolicach. Niszczenie lasów sprowadza znikanie źródeł, a tem samem wyludnienie w danej miejscowości, brak bowiem wody odstręcza od zakładania osad. „Po co tu przybyłeś? zapytał pewien Nubijczyk Francuza, czyż w twej ojczyźnie nie ma wody?“

Obecny stan nizin sąsiednich ujściu Wisły, okazuje najjawniej smutne następstwa wynikające z niszczenia przestrzeni leśnych. W średnich wiekach rozległe lasy sosnowe i jodłowe rozpościerały się od Gdańska do Piławy, od Elbląga do Królewca. Gdzież znikły? Na to odpowiada tradycya. Fryderyk Wilhelm I. potrzebował pieniędzy. Korff zobowiązał się ich dostarczyć, nie poszukując pożyczki ani podwyższając podatków, pod warunkiem że wolno mu będzie korzystać z tego wszystkiego co uzna za nieużytek. Z polecenia jego wycięto lasy, król otrzymał pieniądze, lecz kraj poniósł nieobliczone straty. Lasy ustąpiły miejsca bagniskom, cały płat tej części Powiśla zmienił się w pustynię. Zysk 200,000 talarów przyniósł ostatecznie ruinę, wartość bowiem zniszczonych lasów, można dziś szacować na kilka milionów talarów.

Wszędzie gdzie człowiek zamieszkuje, żywi

się roślinami obfitującemi w mączkę, do jakich należy żyto, pszenica, proso, jęczmień, ryż, kukurydza. Obok mączki spożywamy materyę azotną zwaną *glutenem* w chlebie, cieście, ciastkach, makaronie i t. p. pokarmach. Ziemniaki uprawiane prawie wszędzie, zawierają w sobie znaczną ilość mączki. Wiadomo że pochodzą one z Ameryki południowej; do Anglii zostały wprowadzone w 1586 roku. Francya użytkowała z nich dzięki usiłowaniom Parmentiera dopiero w końcu ostatniego wieku. Mączka otrzymywana z korzenia rośliny zwanej *maniokiem* (Jatropha Manihot) żywi Brazylią, Guyanę, Indye zachodnie, brzegi Afryki, Nową Kaledonią, Taiti i t. p.

Z mączystego korzenia *Ignamów* (Dioscorea alata. D. sativa, D. japonica, D. triphylla) zawierającego w sobie w wielkiej obfitości mączkę, użytkują Chińczycy, Japończycy, ludy archipelagu Indyjskiego i mieszkańcy Guyany.

Korzenie podziemne bulwiaste Kolokaryi i Obrazków (arum maculatum), wydające również mączkę, żywią mieszkańców Indyj wschodnich. Mączka ta odpowiednio do gatunku nosi nazwy *kapusty karaibskiej, kwaśnej* lub *taro*.

Wiele palm i sagowców (cycadeae) dostarcza *saga*, to jest mączki zawartej w ich rdzeniu. Sago otrzymują, rozszczepiając drzewo, w całej jego długości, i wybierając zeń części miękkie, poczem massę tę miesza się z wodą w żłobach drewnianych. Woda zabiera najczystszą część rdzenia, którą się następnie filtruje przez płótna.

Z palmy daktylowej pozyskane sago, stanowi pożywienie mieszkańców wysp Filipińskich. *Sagownica* (Metroxylon Rumphius) krzewiąca się na archipelagu Indyjskim wydaje najlepsze sago. W Japonii, Nowej Holandyi i Kochinchinie, najwięcej rozradza się sagowców.

Niektóre gatunki *maranty* (Maranta arundinaceae), *kanny* (Canna indica) i *kurkumy* (Curcuma longa), uprawiane w Indyach Wschodnich i w Antyllach, posiadają korzeniaki (rhizoma, łodygi podziemne), z których wydzielają mączkę rozcierając je w wodzie, a następnie filtrując i susząc na słońcu. Jeżeli mączka ta pochodzi z Maranty, nazywaną bywa w handlu *Arrow-root* z Antyllów, lub *mączką z Jamajki*; gdy powstaje z kurkumy wązkolistnej, nosi nazwę *Aroow-root* z Travancoru, Bengalu lub Indyi, jeżeli wreszcie pochodzi z kanny szkarłatnej przyjmuje nazwę *mąki tolomańskiej*.

Mączka z bananów, i z przedziwnych owoców *drzewa chlebowego* (Artocarpus incisa) żywi mieszkańców Martyniki, Reunion i innych wysp.

Mączka z rośliny *Pia* jest powszechnie jadalną na Madagaskarze, w Nowej Kaledonii, Taiti, pochodząca zaś z *batatu* (Batatus edulis) poszukiwaną bywa w Antyllach, Indyach i w Kochinchinie dla przedziwnego smaku.

Mchy islandzkie, korzenie dzięgli i niektóre wodorosty, stanowią ubogą florę Grenlandyi.

Cyllaria Darwina, grzyb rozradzający się na bukach, składa prawie wyłączne pożywienie ludów dzikich zamieszkujących południowy kraniec Ameryki.

Rośliny produkujące jarzyny, owoce oraz służące do wyrobu rozmaitych napojów są niezliczone.

Użytkujemy z sałaty, fasoli, grochu, soczewicy, kapusty, rzodkwi, rzerzuchy, szczawiu, szpinaku, cykoryi, z marchwi, rzepy, buraków i t. p. Wpośród tych produktów roślinnych niektóre zawierają w sobie znaczne ilości materyi azotnej, a tem samem posiadają własności pokarmów zbliżonych do chleba i mięsa. Grochy naprzykład zawierają w sobie tak wielką ilość kazeinu, że w tej mierze nieustępują soczewicy i serom.

Brzoskwinie, morele, gruszki, śliwki, wiśnie, poziomki, maliny, winne grona, orzechy, kasztany są produktami roślin krzewiących się w strefach umiarkowanych. Migdały, figi, granaty, pomarańcze pochodzą z krain wschodnich. Nasiona sosny włoskiej, czyli pinii (pinus pinea) zwane *pinjolami*, spożywane są z upodobaniem przez mieszkańców południowej Europy. Daktyle i ananasy żywią ludność stref gorących, owoce bananów rajskich zwane *figami adamowemi*, pieką się w piecach lub prażą w gorącym popiele.

Drzewo kakaowe (Theobroma Cacao) krzewiące się wśród lasów Ameryki równikowej dostarcza ziarn tłustych, z których wyrabiają czekoladę. Zbiór tych owoców następuje dwa razy w roku, w miesiącach czerwcu i grudniu. Po wydobyciu z nich nasion, te pomieszczone zostają w wielkich naczyniach i pokryte liśćmi. W skutek zachodzącej fermentacyi i mieszania massy, po upływie pięciu lub sześciu dni nasiona przyjmują barwę różową, i w tym stanie suszą na słońcu. Nasiona po wysuszeniu i roztarciu tworzą czekoladę amerykańską; używana w Europie bywa słodzoną cukrem i dla zapachu mieszana z wanillą. Olejek pochodzący z ziarn drzewa kakaowego po oczyszczeniu go i zgęstnieniu, tworzy tak zwane *masło kakaowe*. Użytki kulinarne kory *drzewa cynamonowego* dobrze nam są znane. *Drzewo mangowe* wydaje śliwy (mangifera indica) bardzo smaczne, pochodzące z Indyj Wschodnich i uprawiane w Antyllach i w Ameryce zwrotnikowej. *Manga* dochodzi objętością małego melonu, spożywa się surową lub w postaci komputów i konfitur. W lasach górskich Jamajki i Wenezueli krzewi się drzewo zwane *Niesplikiem amerykańskim*, którego owoce do jabłek są podobne. Orzech amerykański (Bertholetia excelsa) dosięga 86 stóp polskich wysokości i dostarcza owoców trójkątnych znanych powszechnie w handlu. Tak zwany *Duriang* (Durio zebethinus) dostarcza mieszkańcom archipelagu Indyjskiego owoców soczystych pokrytych cierniem.

Drzewo melonowe (Carica papaya), pleniące się w Azyi, Afryce i Ameryce i dosięgające 35 stóp pol. wysokości, z owocem żółtopomarańczowym, spożywanem bywa częściowo po poprzedniem wymoczeniu go w wodzie.

Prawie wszystkie napoje fermentujące są produktem roślinnym.

Wino jest sokiem winnych gron z nich wyciśniętym i poddanym fermentacyi. Wino białe pochodzi z białych, czerwone z czarniawych winnych gron; to ostatnie nabywa koloru od naskórka, który usuwając w manipulacyi można otrzymać wino białe. Jeżeli moszcz winny przelany zostanie w butelki przed ukończoną fermentacyą, to wywiązuje wówczas znaczną ilość kwasu węglanego, który nie znajdując ujścia, w zamkniętych butelkach wydaje *wino musujące*. Fabrykanci wina powiększają ilość alkoholu i kwasu węglanego, napełniając każdą butelkę pewną ilością cukru lodowatego.

Jabłecznik fabrykowany we Francyi jest sokiem sfermentowanym jabłek, gruszecznik wyrabia się z gruszek, piwo jest produktem otrzymywanym z chmielu i jęczmienia; w Anglii wyrabiają wino z porzeczek, bzu, pomarańcz i z soku figi sykomorowej. W Norwegii otrzymują wino z soku brzozy poddanego fermentacyi. W Rosyi tak zwany *kwas* wyrabia się z żyta wypuszczającego kiełki. *Klon cukrowy* dostarcza Amerykanom wina, będącego sokiem otrzymywanym z tegoż drzewa. Z fermentowanego soku trzciny cukrowej pozyskują w Antyllach wino zwane tam *Guarapo*. Sok z Agony amerykańskiej używanym bywa za napój w Meksyku i Peru zwany *winem z Magney*.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Odessa, 22 stycznia (3 lutego) 1876.

Okropny, przerażający, nieprawdopodobny, a jednak prawdziwy wypadek miał miejsce w Odessie dziś w nocy... Podwójne samobójstwo! Od przeszłego roku samobójstwa nie robią tu na nas żadnego wrażenia. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Przed tygodniem otruł się jeden z tutejszych obywateli żydów, i pomimo to że żydzi rzadko się trują, pomimo że otruł się kwasem pruskim, nie doniósłbym wam nawet o tem, tak przyzwyczailiśmy się do samobójstw spowodowanych... rublem. Lecz dzisiaj!... Nie, nie mogę sam temu uwierzyć, a jednak to jest prawdą. W Odesie, w której atmosfera zdaje się być posłuszną termometrowi giełdy i podnosi się lub zniża stosownie do podnoszenia się lub zniżania kursów na giełdzie, spełniono samobójstwo, podwójne samobójstwo.... z miłości!

Miłość i asekuracya towarów. Miłość i cichaczowska eksploatacya kolei. Miłość i konosamenty. Poezya i tytuń. Miłość i pomada. Jak sobie chcecie, są to przecież synonimy w Odesie.

On sprzedawał pomadę, ona, nie wiem, może tytoń. On był subjektem u Zaleskiego et comp. ona u Petersa.

Kochali się.

Że miłość należy zaasekurować, boć to towar dziś rzadkiej wartości, pragnęli to uskutecznić w jednem z najdawniejszych *solidnych*, a więc jeszcze niebankrutującem towarzystwie „Hymen,“ którego kapitał, przedstawiał wszelkie gwarancye wypłacalności.

Towarzystwo jednak premię podwyższyło, wymagało formalności uciążliwych; mianowi-

cie poręczenia biegłych, rodziców, ci odmówili, i towarzystwo polissy nie wydało.

Zrozpaczeni kochankowie naznaczają sobie rendez-vous, biorą numer w hotelu angielskim i tam inkasując swe weksle w ostatnim pocałunku, na jednych drzwiach i na jednym postronku przez drzwi przewieszonym, kończą swój żywot. Zbankrutowali...

W tych dniach przybyła do Odessy „ruchoma wystawa obrazów ruskich artystów“ i wczoraj została otwarta w salonach klubu angielskiego. Jest kilka znakomitych płócien, mianowicie: Maksimowa „Przybycie czarownika (kołduna) na wiejskie wesele.“ Że dziś dopiero pierwszy raz tam byłem i pobieżnie tylko przejrzałem, odkładam do następnego listu szczegółowe sprawozdanie, gdyż uważam za stosowne poznajomić naszych czytelników z ruską szkołą malarstwa, która dzięki akademii petersburskiej, rozwija się bardzo pomyślnie, wydała kilku mistrzów, a u nas bardzo mało jest znaną.

Henryk Filipowicz.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w czynie.

VI.

Dla wiadomości czytelniczek „Opiekuna Domowego“ podajemy w dosłownym przedruku przepisy Zakładu Rękodzielniczego dla kobiet w Warszawie, zakomunikowane nam przez przełożonego zakładu p. E. R. Łojkę.

Zakład Rękodzielniczy dla kobiet zatwierdzony jest przez rząd, jako szkoła rękodzielniczo-przemysłowa.

Główny zarząd, kierunek wykładu nauk, rozwój i odpowiedzialność należą wyłącznie do przełożonego. Wykonanie rozporządzeń i przestrzeganie porządku, oraz objaśnienia o warunkach zapisu, powierzonem jest nadzorczyni.

Rzemiosła wykładane są następujące: Introligatorstwo, krój sukien, krój i szycie bielizny, kwiaty sztuczne, krój i szycie rękawiczek, szewctwo damskie i dziecinne, drzeworytnictwo, drukarstwo, fryzyerstwo, nauka rysunku stosowanego do rzemiosł, fotografia, retuszerya i heliominiatury, wyrzynanie piłką à jour, snycerstwo, zegarmistrzostwo, jubilerstwo, pieczętarstwo, rytownictwo na metalu, litografia, szczotkarstwo, szmuklerstwo, polerowanie metali i tokarstwo.

Nauki: *a*) rachunkowość, buchalterya i korespondencya handlowa, *b*) gospodarstwo domowe, *c*) gospodarstwo wiejskie, *d*) ogrodnictwo i *e*) higiena.

Zakład posiada specyalnie uzdolnione nauczycielki i nauczycieli, z których każdy ma zastępcę; niemożebną jest zatem przerwa w wykładzie.

Nauka w zakładzie trwa przez rok cały, codziennie od godziny 9-ej rano do 8-ej wieczór, według przyjętych programów. Z pewnej liczby uczennic tworzą się dla każdego rzemiosła lub nauki, tak zwane komplety; wykład zaś i praktyka rozpoczynają się z chwilą zebrania oznaczonej liczby osób.

Dwie godziny dziennie (tygodniowo godzin 12) przeznaczone są na wykład jednego rzemiosła; jedna zaś godzina dziennie (tygodniowo godzin 6) na naukę. Okres czasu dla każdego z wykładanych przedmiotów, oraz opłata za naukę, są następujące:

Rzemiosła:

	miesięcy	opłata
Introligatorstwo { galanterya	3	20 rs.
Introligatorstwo { oprawa kiążek	3	20 „
Krój sukien	2	15 „
Krój i szycie bielizny	2	12 „
Kwiaty sztuczne	6	40 „
Krój i szycie rękawiczek	6	45 „
Szewctwo damskie i dziecinne	6	45 „
Drzeworytnict. (dla umiej. rys.)	8	60 „
Drukarstwo	10	75 „
Fryzyerstwo	6	45 „
Wyrzynanie piłką à jour	1	10 „
Snycerstwo	4	35 „
Zegarmistrzostwo	10	75 „
Pieczętarstwo	8	60 „

Nauki:

	miesięcy	opłata
Rachunkowość, buchalterya i korespondencya handlowa	7	50 rs.
Gospodarstwo domowe	2	10 „
Gospodarstwo wiejskie	3	15 „
Ogrodnictwo	3	15 „
Higiena	2	10 „

Po ukończeniu kursu, uczennice zdają egzamin w zakładzie i otrzymują odpowiednie świadectwa uzdolnienia. Opłata za naukę może być wnoszoną miesięcznie i jest, o ile można, umiarkowaną. W miarę zgłaszania się większej liczby uczennic—opłata zostanie obniżoną.

Uczennica zapisująca się na otwarty już kurs danego rzemiosła, może bezwłocznie rozpocząć naukę, do której potrzebne narzędzia i materyały dostarcza zakład bezpłatnie; dla praktyki jednak w domu, winna posiadać na własność niektóre narzędzia używane w obranem przez nią rzemiośle, gdyż będących własnością zakładu, tenże niedozwala zabierać z sobą. Uczennice, życzące sobie zabierać wyroby swoje, w Zakładzie wykonane, na własność, — obowiązane są dostarczać niektóre materyały.

Zakład nie oznacza ściśle czasu twania nauki, rozpoczętego już rzemiosła, gdyż nauczycielki z każdą z uczennic prowadzą takową osobno. Zatem uczennice mogą się zgłaszać do zapisu w każdej chwili i rozpoczynać kurs. To co powiedzieliśmy o wykładzie rzemiosł, nie stosuje się do nauk, gdyż wykład takowych odbywa się wyłącznie dla danego kompletu. (Dla osób z prowincyi zakład wskazuje odpowiednie mieszkania na mieście ze stołem, usługą etc., lub bez takowych stosownie do umowy).

Uczennice nie regularnie uczęszczające na wykłady, nie będą przypuszczone do egzaminu dopóki nie ukończą całkowitego kursu obranego przez nie rzemiosła. Te zaś które ukończyły kurs rzemiosła lub nauki, mają prawo wpisać się bezpłatnie do księgi rekomendacyjnej utrzymywanej w zakładzie, dla wiadomości osób potrzebujących ukształconych specyalnie kobiet.

Każda z uczennic, po opuszczeniu z rzędu trzech lekcyj, obowiązaną jest niezwłocznie zawiadomić zakład o przyczynie niebytności swej na wykładach.

Kandydatki zapisane na mający rozpocząć się kurs rzemiosła lub nauki, jeśli po upływie 3-ch miesięcy kurs nie został otwarty, lub komplet uczennic nie zebrany, — mogą odebrać wniesioną opłatę.

Przełożonym Zakładu, *E. R. Łojko*, Przełożoną, p. *Aleksandra Hirschberg*. Zarząd Zakładu przy Zielonym placu, Nr. 10 w domu hr. Zamojskiego.

* * *

Czy naszem paniom się zdaje, że gospodarstwa domowego nie trzeba się uczyć, bo dość mieć na czem gospodarować, ażeby *umieć* gospodarować; czy że tylko można go się w praktyce nauczyć a teorya tylko w główce zawróci, tak jak to dotychczas jeszcze utrzymują nasi gospodarze „praktyczni,“ czy może wreszcie, naszem paniom i pannom nic się nie zdaje?.. Tego nie wiemy. Dość że na *wykłady gospodarstwa domowego* w zakładzie rękodzielniczym dla kobiet, od miesiąca listopada r. z. na blisko 150 tysięcy płci pięknej znajdującej się w Warszawie, zapisało się aż 2 słuchaczki, wyraźnie dwie. A zdawało się przecież, że przedmiot tak ważny i cena za kursa (5 rsr. miesięcznie) tak przystępna, powinna zgromadzić nie dwie słuchaczki! Może to karnawał stanął na przeszkodzie? zobaczymy jak będzie w poście....

* * *

Nie zawsze jednak i nie wszędzie płeć piękna tak się niepięknie popisuje. Jednostki przynajmniej tu i ówdzie od czasu do czasu zaznaczą ślad życia. Niedawno donosiliśmy czytelnikom naszym, że w Radomiu *kobieta* założyła księgarnię, teraz dzielimy się takąż samą wiadomością z Siedlec.

* * *

Jak każdy wiek ma swoje prawa, tak samo można powiedzieć o każdej porze roku. W karnawał ludziska tańczą, skaczą, maskują, intrygują, słowem *bawią* się jak mogą, w post nie tańczą i nie skaczą, jednak intrygują i maskują jak zwykle, tylko—już nie dla zabawy.... Bądź co bądź w tym roku zadługo trochę będziemy się w podwójne ubierać maski, toż to popielec dopiero 1 marca, do tej pory wieczory znacznie się skrócą..., a panowie prelegenci odczytów rzemieślniczych jakoś widocznie zabawili się i nie pamiętają że post trwa tylko siedm tygodni i że więc może być tylko sześć odczytów, bo po Wielkanocy słońce już zachodzi o godzinie siódmej.... Czyby nie można zacząć prelekcyj jeszcze w karnawale? Przecież i po prelekcyi będzie dość czasu na zabawę w resursie obywatelskiej lub kupieckiej, w Szwajcarskiej dolinie, w Tivoli lub na srebrnej sali... Czemuż nie możemy dodać jeszcze, albo raczej, czemu zamiast tych trzech ostatnich miejscowości nie możemy wymienić: *resursy rzemieślniczej*? Myśl założenia takowej przed paru laty powstała była w prasie tutejszej, wywołała nawet dość ożywioną dyskusyę i... i skończyło się na tem. A tymczasem klasa rzemieślnicza tak zwana „niższa“ i w ogóle biedniejsza, musi zadawalniać się przyjacielskiemi balikami w Tivoli i t. p. przyzwoitych miejscowościach.

* * *

Bodaj czy prowincya nie prześcignie pod tym względem Warszawy. Oto dowiadujemy się że w Płocku około 60 tamtejszych obywateli, wniosło do właściwej władzy projekt założenia klubu kupieckiego. Szczegóły i projekta nie są nam jeszcze wiadome, nic więc o tem obecnie powiedzieć więcej nie możemy, jak tylko to, że radzibyśmy z całego serca widzieć w tej nowej instytucyi ognisko, u którégby się jednoczyły wszystkie warstwy naszego społeczeństwa, bez względu na stopień zajmowany w hierarchii społecznej.

* * *

W Łodzi z inicyatywy jednego z artystów trupy p. Grabińskiego, powstał projekt urządzenia odczytów na dochód osad rolnych. P. Grabiński dawał tam przedstawienia na tenże cel. W Piotrkowie w d. 29 stycznia odbył się koncert instrumentalno-wokalny z przedstawieniem dramatycznem połączony, na dochód niezamożnych uczniów tamtejszego gimnazyum. W tem samem mieście 1 lutego miał się odbyć w hotelu p. Michaleckiego wieczór tańcujący składkowy, na którym panie według słów „Tygodnia“ skromnemi ubiorami miały dowieść, że powodzenie zabawy nie zależy wcale od świetności toalet. Bodajby nasze panie zawsze i wszędzie chciały dowodzić że więcej ważą treść niż formę.

* * *

Bardzo ważną i pocieszającą otrzymujemy wiadomość. Z wyższego polecenia podjęty został projekt założenia w Królestwie Polskiem zakładu technologicznego, wyższej szkoły handlowej i dwóch szkół realnych na wzór istniejących już w Warszawie, Włocławku i Łowiczu. Kto wie ile naszej młodzieży rok rocznie w celu kształcenia się w kierunku realnym wyjeżdża do Petersburga, ilu stamtąd wraca (w ostatnim szczególniej roku) z powodu braku miejsca w tamtejszych zakładach, ilu zresztą nie może tam ani zagranicę jechać z powodu braku funduszów; kto wie ile rok rocznie dzieci, od czasu ograniczenia liczby uczniów w klasie, musi pozostawać w domu, kto wie wreszcie jak ważny jest kierunek realny w kształceniu młodzieży przy budzącem się dziś u nas przemyśle i handlu, kto to wszystko wie, pojmie całą ważność tego projektu dla naszego kraju.

* * *

Jakby dla przykładu tego cośmy tylko co powiedzieli, czytamy w „Gazecie Łodzkiej“ że w tamtejszej wyższej szkole rzemieślniczej znajduje się 223 uczniów, t. j. o 44 więcej jak w roku zeszłym (szkolnym), a to z tego powodu, że otworzony został w 1-ej klasie drugi oddział, a w 2-ej klasie władza zezwoliła na powiększenie liczby uczniów. Najwięcej w tym roku przybyło dzieci szlachty, gdyż w roku zeszłym było 39, a w tym 67 dzieci szlacheckich. Dziwnem nam się wydaje że najmniej z tej szkoły korzystają włościanie, w przeszłym roku dzieci włościańskich było 7, a w tym pozostało tylko jedno!

* * *

„Gazeta Lubelska“ donosi, że grono lekarzy urządziło przy tamtejszym szpitalu lecznicę, w której biedni będą otrzymywać poradę a nawet lekarstwa, bandaże i szarpie bezpłatnie. Zaiste przykład godny szczerego uznania, i... naśladowania.

* * *

Aż cztery spółki u nas się zawiązują. Jedna z nich będzie dostarczać nam mięsa, druga książek, trzecia torfu, a czwarta wyrobów żelaznych. Pierwsza t. j. spółka dostawy mięsa ma sprowadzać ten produkt codziennie do Warszawy koleją Warszawsko-Terespolską i sprzedawać go po cenach niższych niż dotąd się u nas praktykuje, przytem będą sprzedawać mięso także w postaci już przetworzonej, jako to: w postaci befsztyków, kotletów i t. p. Co do cen, to rzeczywiście nasi panowie rzeźnicy robią *dobre* co się zowie *interesa*, lepsze nawet zapewne, niż p. Breslauer na swoich wydawnictwach, bo gdy teraz mięso w okolicach Brześcia sprzedają po 3 grosze funt, wyraźnie po *trzy grosze* a u nas każą płacić po 13 kopiejek!

* * *

A kiedy potrąciliśmy i o wydawnictwa potrzeba nam wspomnieć o drukującem się dziele doktora Stammera, znanego specyalisty cukrownika. Przekład tego dzieła dokonywa się przy współudziale samego autora, który do polskiego wydania robi przypiski do zupełnie zresztą jeszcze nowego, bo w roku zeszłym wydanego oryginału. Dzieło o jakiem mowa wyjdzie nakładem p. Władysława Branickiego, a że go wielka potrzeba czuć się dawała w naszej literaturze, można wnosić z tego, że przy ciągłym i dość znacznym już wzroście u nas cukrownictwa, nie mamy ani jednego dzieła w tym przedmiocie traktującego.

* * *

P. p. Antoni Fränkel i Stanisław Brun otrzymali pozwolenie na otworzenie w Warszawie towarzystwa akcyjnego „Warszawskiej fabryki machin, narzędzi rolniczych i wyrobów z surowcu.“ Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza z dnia 26 z. m. podaje projekt założenia spółki akcyjnej w celu eksploatowania torfu w Rudzienku pow. Nowo-Mińskim gub. Warszawskiej. O ile pamiętamy, próby z tamtejszym torfem jeszcze przed paru laty robił ś. p. Glinojecki i takowe do świetnych doprowadziły rezultatów. Co się tyczy samego projektu spółki to go tutaj dla braku miejsca nie podajemy, odsyłając ciekawych do wyż wspomnionej gazety.

* * *

W tych dniach przybył ze Lwowa do Warszawy p. Gładziński, autor dzieła „Najnowsza i najpraktyczniejsza metoda kroju sukien damskich“ i ma otworzyć kursa kroju. Spodziewamy się że znajdzie wiele amatorek chcących skorzystać ze sposobności, zwłaszcza że cena jest przystępna: cały kurs kroju, dwutygodniowy kosztuje 7 rubli 50 kop., a z nauką szycia 11 rubli 50 kop. Metoda pana Gładzińskiego znalazła uznanie za granicą i w Galicyi, za dowód czego może służyć to, że dzieło jego doczekało się trzeciego wydania w niemieckim i polskim języku, i że metodę tę przyjęto w publicznych zakładach we Lwowie: w klaszorze Ś-ej Trójcy, u Ormian w seminaryum żeńskiem, w konwikcie p. Boberskiej i w. in. Metoda p. G. różni się od innych tem, że w niej zastosowane zostały swego rodzaju *linijki krojowe*, które zastępują niezawsze dającą się nabyć wprawę w rysunek odręczny. Dzieło o którem wspomnieliśmy składa się z 10 arkuszy druku i 1000-a figur, kosztuje 4 rub. 70 kop.

* * *

Znowu i my i inne organy prasy naszej zaczynamy podnosić głos o fundusz Staszica, znowu będziemy debatować nad wolą testatora, znowu będziemy ją tłómaczyć każdy po swojemu i znowu każden będzie chciał mieć racyę.... Czy niewartoby po roku namysłu zgodzić się już na jedno, od tak np. na to co przemysłowcy warszawscy proponują?... A wiecie czytelnicy szanowni co to oni proponują? Oto proponują założenie warsztatów instrukcyjno-zarobkowych z bezpłatną nauką. Prawda że pomysł dobry? I diabłu dogodził i duszy nie stracił. I wilk syty i koza cała. I wola testatora poszanowana i potrzeby chwili uwzględnione...

* * *

Nie mając danych statystycznych nie możemy podać liczby dokładnej, ale możemy przypuścić że przez każdą zimę w Warszawie przynajmniej 10%, poniosło mniejsze lub większe obrażenie swojej osoby... od upadku na trotuarach. Doprawdy w żadnem chyba europejskiem mieście właściciele domów nie są tak skąpi na piasek, popiół lub trociny... Co tam, że ktoś sobie guza nabije, rękę złamie, lub wreszcie głowę roztrzaska! Zato panu obywatelowi miasta Warszawy, zostanie kilka kopiejek w kieszeni. Ale nie tylko na trotuarach warszawskich ślizgawka nie jest bezpieczną. Czytamy oto „w Gazecie Łodzkiej“ że 10-cio letni Herman Kulawiński ślizgając się na łyżwach tak nieszczęśliwie padł na wznak że przyniesiony do domu na drugi dzień życie zakończył. Tutaj już nie winni ani obywateli warszawscy, ani rodzice tego biednego chłopca, jak myśli Kuryerek, ani on sam nawet, ale... tylko przypadek.

CHANCELLOR.

NOTATKI PODRÓŻNEGO J. R. KAZALLON

przez

Juliusza Verne.

(dalszy ciąg).

VIII.

Od 15 do 18 października. Żegluga trwa ciągle w dawnych warunkach, wiatr dmie północno-wschodni, na okręcie nic nie zmieniło się, jak gdyby nic się nie stało.

A jednak „coś jest!“ Majtkowie zbierają się po kilku szeptając, za naszem zbliżeniem rozmowa ustaje. Kilka razy pochwyciłem wyraz „klapy,“ który uderzył także i pana Letourneur. Dla czego klapy są ciągle hermetycznie zamknięte, czy na spodzie okrętu co zmusza do takiej ostrożności?

Gdybyśmy mieli pod pokładem całą załogę nieprzyjacielską w niewoli, nie pilnowanoby jej z większą surowością.

15-go przechodząc na przodzie okrętu, usłyszałem jak majtek Owen, mówił do kolegów:

— Czy wiecie moi kochani, że ja nie myślę czekać do ostatka, każdy dla siebie.

— Tak, ale co zrobisz mój Owenie, zapytał kucharz Jynxtrop.

— Już ja wiem! odpowiedział marynarz. Czy to szalupy dla morsów wynaleziono?

Nic nie zrozumiałem z całej tej rozmowy, którą i tak natychmiast przerwali, widząc że się zbliżam.

Jakiś widać spisek ułożono przeciwko oficerom okrętu. Czy Robert Kurtis przewiduje jakie zaburzenia?

Majtków często należy się lękać i trzymać w karbach nieugiętej surowości.

Przez trzy dni nie zauważyłem nic nowego. Wczoraj i dziś kilka razy widziałem, że Kurtis prowadził bardzo ożywioną rozprawę z kapitanem, nie ukrywając wcale oznak niecierpliwości. Dziwi mnie takie nieumiarkowanie w człowieku umiejącym panować nad sobą.

Jak sądzę w skutek tych sprzeczek, Huntly upiera się coraz więcej przy myśli co mu zabiła ćwieka w głowę.

Oprócz tego widoczny na nim wpływ nerwowego podrażnienia, którego powodu nie znam wcale.

Panowie Letourneur wraz ze mną zauważyli podczas obiadu milczenie kapitana i niecierpliwość Kurtisa. Porucznik stara się ożywić rozmowę ciągle urywającą się. Falsten zaś i Kear, a tem bardziej Ruby wcale w niej udziału nie biorą.

Oprócz tego passażerowie zaczynają skarżyć się i nie bez racyi, na tak długą podróż. Kear, któremu zdaje się, że żywioły powinny przed nim chylić czoła, robi odpowiedzialnym kapitana Huntly za to opóźnienie i coraz więcej go z góry traktuje.

17-go stosownie do rozkazów porucznika cały dzień oblewano pokład wodą.

Zwykle dopełniano tego rankiem, ale widać podwyższenie temperatury w skutek posunięcia się na południe, wymaga częstszego oblewania statku wodą.

Płótno którem zakryto klapy utrzymują w ciągłej wilgoci, do czego pomagają pompy znajdujące się na okręcie.

Najzbytkowniejsze goeletty jacht-klubu nie są w takiej elegancyi i czystości utrzymywane jak Chancellor.

Załoga powinnaby skarżyć się na trudy pompowania, ale nie skarży się.

W nocy z 23 na 24, upał w kajucie był nie do wytrzymania, tak, że pomimo silnych bałwanów otworzyłem okienko kajuty.

Zwrotniki dają się nam uczuć!

Z brzaskiem jutrzenki wyszedłem na pokład.

Dziwnym fenomenem wydać się może różnica temperatury wewnątrz statku i na wierzchu, tam upał nie do zniesienia, tutaj zupełny chłód, prawie zimno, słońce nie weszło jeszcze, pod wystawką zaś znów gorąco.

Majtkowie myją jak zwykle pokład, studnie wyrzucają massę wody, spływającej następnie na prawo i na lewo, stosownie do ruchów statku.

Marynarze z gołemi nogami biegają po wodzie bryzgając na wszystkie strony.

Nie wiem dla czego przyszła i mnie ochota zrobić jak oni, zrzuciłem więc obuwie i zacząłem podskakiwać w wodzie.

Ku wielkiemu zdziwieniu, pokład okrętu jest tak gorący, że nie mogłem powstrzymać się od wykrzyknienia.

Robert Kurtis usłyszał mnie, odwrócił i zbliżywszy się odpowiedział na pytanie, którego nie zdążyłem mu zadać.

— No tak! rzekł, okręt się pali!

IX.

Zrozumiałem teraz wszystko, narady majtków, ich niespokojność, słowa Owena, zlewanie pokładu na którym chcą utrzymać wilgoć, a nareszcie ten upał w kajutach, którego znieść już nie można.

Passażerowie nie mogą zrozumieć co znaczy ta nadzwyczajna temperatura.

Robert Kurtis zamilkł po udzieleniu mi tej ważnej wiadomości. Czekał zapewne pytań jakich z mojej strony. Muszę jednak przyznać się, że w pierwszej chwili całe ciało moje doznało drżenia ze strachu.

Najokropniejszym wypadkiem jaki w czasie żeglugi spotkać może, bez najmniejszej kwestyi jest pożar w okręcie i najodważniejszy człowiek musi zadrżeć usłyszawszy te okropne słowa „okręt się pali.“

Natychmiast jednak odzyskałem zimną krew, pytając Kurtisa od jak dawna pożar trwa?

— Od sześciu dni.

— Sześć dni, zawołałem, a więc to tej nocy...

— Tak jest, odpowiedział Robert Kurtis, kiedy taki niepokój panował w nocy na pokładzie Chancellora. Majtkowie będący na warcie spostrzegli lekki dym dobywający się przez otwory wielkiej klapy. Zawiadomiono natychmiast kapitana i mnie. Nie było najmniejszej wątpliwości. Bawełna na spodzie okrętu zapaliła się i nie było środka dostać się do samego ognia. Zrobiliśmy wszystko co można było w podobnym wypadku, to jest: zamknęliśmy klapy aby zatamować przypływ powietrza do wnętrza statku. Sądziłem, że tym sposobem zadusimy pożar w samym początku. Rzeczywiście w pierwszych dniach zdawało się, żeśmy go opanowali.

Od onegdaj jednak zauważano na nieszczęście, że ogień rozszerza się coraz więcej. Pod naszemi nogami coraz goręcej i gdyby nie ustawiczne polewanie nie można byłoby już chodzić po pokładzie. Wolę żeby pan wiedział o tem panie Kazallon i dla tegom panu wszystko powiedział.

W milczeniu słuchałem tego co mi porucznik opowiadał. Myślą objąłem całą okropność naszego położenia w obec tego wzrastającego pożaru, na ugaszenie którego siły ludzkie nie wystarczały.

—Jakim sposobem ogień powstał?

—Zapewnie panie Kazallon skutkiem zagrzania się bawełny.

—Czy to się często zdarza?

—Przeciwnie bardzo rzadko i to tylko w takim razie, jeżeli pakowano niezupełnie suchą bawełnę. Zagrzanie więc łatwo nastąpić może z powodu sprzyjających mu okoliczności t. j.: wilgoci na spodzie okrętu i braku wentylacyi. Jestem najpewniejszy że taka nie inna jest przyczyna pożaru.

— Przyczynanie ma najmniejszego znaczenia. Czy możemy co na to poradzić panie Kurtis?

— Nie p. Kazallon. Powtarzam panu że zrobiliśmy wszystko co należało. Chciałem przedziurawić okręt pod wodą ażeby zatopić pożar, następnie zaś wylać wodę pompami; po bliższem zaś zbadaniu okazało się, że pożar objął górne paki bawełny. Trzeba by więc było zalać cały spód okrętu. Kazałem także przedziurawić pokład w kilku miejscach i w nocy wlewamy tamtędy wodę ale i to nie pomaga. Tak, jedyny sposób zamknąć wszystkie otwory a wtedy dla braku tlenu pożar musi zagasnąć.

—Czy ogień rozszerza się ciągle?

—Tak. Musi być jakaś dziura przepuszczająca powietrze, której pomimo najusilniejszych starań znaleść nie można.

—Czy zdarzyło się kiedy panie Kurtis, ażeby okręt w podobnych warunkach ocalał.

— Bez wątpienia, p. Kazallon, nawet często się zdarza że okręta wiozące bawełnę przyjeżdżają do Hawru lub Liverpol z ładunkiem w części spalonym. Widocznie pożar ugaszono lub powstrzymano w czasie żeglugi. Nie jeden kapitan wjeżdża do portu na pokładzie palącym mu stopy. Wyładowania dopełniają wtedy nadzwyczajnie szybko i ocalają okręt wraz z resztą ładunku. Co do nas to inna rzecz. Powietrze którędyś się dostaje i pożar z każdą chwilą wzrasta.

— Czy nie lepiej wrócić się do najbliższego lądu?

—Naturalnie panie Kazallon. Dziś właśnie rozbieraliśmy to z Walterem i bosmanem w obecności kapitana. Nawet mówiąc między nami podjąłem się zmienić dotychczasowy kierunek okrętu, w tej chwili z wiatrem południowo-wschodnim płyniemy ku brzegom.

—Czy pasażerowie wiedzą o niebezpieczeństwie jakie im grozi?

—Ale gdzież tam panie Kazallon, nawet proszę pana zatrzymać przy sobie wszystko co panu mówiłem. Przestrach kobiet i tchórzów przyczyniają się tylko do powiększenia niepokoju.

Załoga dostała rozkaz bezwarunkowego milczenia.

X.

20-go i 21 października. W takich to warunkach Chancellor płynie dalej z rozpuszczonemi wszystkiemi żaglami. Maszty gną się niekiedy grożąc pęknięciem, ale Robert Kurtis czuwa nad wszystkiem. Stojąc przy sterze ani na chwilę nie wypuszcza drąga z ręki, zręcznie wymijając fale pozwala im się unosić jeżeli to nie zagraża statkowi, i Chancellor nic nie traci ze swojej szybkości pod kierunkiem prowadzącej go ręki.

Wczoraj wszyscy pasażerowie wyszli na werendę. Zapewne zauważyli nadzwyczajny wzrost temperatury, nie wiedząc jednak o niczem są zupełnie spokojni. Nogi ich w dobrem obuwiu nie uczuły gorąca pokładu bezustannie wodą oblewanego. To działanie studni powinno byłoby zwrócić ich uwagę. Na szczęście jednak nie zajmują się tem wcale i w najzupełniejszym spokoju rozciągnięci na ławkach z przyjemnością lubują się kołysaniem okrętu. Jeden tylko pan Letourneur ze zdziwieniem spostrzegł że załoga utrzymuje statek w czystości o jakiej niesłyszano na okrę-

tach handlowych. Zwrócił nawet na to moję uwagę co przyjąłem jak najobojętniej. A jednak ten Francuz to człowiek energiczny, mógłbym mu o wszystkiem powiedzieć, ale obiecałem Robertowi że będę milczał i dotrzymam słowa. Kiedy pomyślę o następstwach katastrofy co chwila wybuchnąć mogącej, serce moje boleśnie się ściska. Jest nas 28 osób na pokładzie, 28 ofiar, dla których płomienie nie pozostawią nawet deski ratunku! Dzisiaj była narada pomiędzy kapitanem, pomocnikami i bosmanem, narada od której zależy ocalenie Chancellora, pasażerów i załogi.

Robert Kurtis wtajemniczył mię we wszystko co tam uradzono. Kapitan Huntly upadł zupełnie na duchu co zresztą było do przewidzenia. Stracił zimną krew i energię i zdaje dowództwo Robertowi Kurtis. Wzrost pożaru w głębi okrętu nie ulega żadnej wątpliwości, tak że w koszarach załogi, na przodzie okrętu będących, nie można już wytrzymać. Ogień którego nie można opanować, prędzej czy później wybuchnie gwałtownie. Jedyny więc ratunek — szukać ocalenia na najbliższym lądzie t. j.: w Małych Antyllach i można mieć nadzieję że przy sprzyjającym wietrze dobijemy na czas do brzegów. Po przyjęciu tego zdania—Robertowi Kurtis pozostało tylko nadal utrzymać drogę od dwudziestu czterech godzin obraną. Pasażerowie nie umiejąc oryentować się na Oceanie i nie ciekawi wskazówki busoli, naturalnie nie zauważyli żadnej zmiany, a Chancellor pełnemi żaglami płynie ku Antyllom od których jeszcze 600 mil go oddziela.

Na zapytanie pana Letourneur dla czego zmieniono kierunek okrętu, Robert Kurtis odpowiedział, że nie chcąc płynąć pod wiatr zwraca się ku zachodowi, ażeby korzystać z dogodniejszego prądu. Zmiana więc kierunku Chancellora, tę jedyną wywołała uwagę. Dzisiaj 21 października położenie w niczem się nie zmieniło. Pasażerowie sądzą że podróż odbywa się w porządku i wszystko na pokładzie idzie swoim trybem. Zresztą nie widać rozszerzenia się pożaru co jest dobrym znakiem. Klapy tak hermetycznie zamknięto że nie przepuszczają nawet najmniejszego dymu któryby zdradził pożar wewnątrz płonący. Może ogień skoncentruje się na spodzie, a może zagaśnie z braku powietrza i nie objąwszy całego ładunku. Tak się przynajmniej spodziewa Robert Kurtis który przez zbytek ostrożności kazał pozakrywać otwory pomp, których rury przechodzące aż do dna okrętu mogłyby przepuszczać odrobinę powietrza. Oby niebo przybyło na nasz ratunek, bo sami w niczem sobie pomódz nie możemy.

Dzień dzisiejszy przeszedł by bez żadnego wypadku, gdyby nie pochwycone kilka słów z rozmowy z której dowiedziałem się, że położenie nasze które uważałem jako bardzo ciężkie tylko w rzeczywistości jest straszne. Siedząc na werendzie usłyszałem po cichu rozmawiających inżyniera Falsten z kupcem Ruby. Sądzili oni że nikt ich nie słyszy. Uwagę moję zwróciło parę wyrazistych gestów inżyniera, zdającego się robić żywe wymówki swojemu towarzyszowi. Mimowolnie zacząłem słuchać.

— Ależ to szaleństwo, powtarzał Falsten, jak można być do tego stopnia nieostrożnym.

— Ba! odpowiedział Ruby, nic się nie stanie.

— Ależ przeciwnie, stąd może wyniknąć największe nieszczęście.

— Niby to ja pierwszy raz tak wożę.

— Wszak dosyć jednego uderzenia ażeby spowodować wybuch.

— Pudełko jest doskonale zawinięte, panie Falsten i powtarzam panu, że nie ma się czego lękać.

— Dla czegóż nie było uprzedzić kapitana?

— Eh! dla tego, że nie byłby przyjął na okręt mojego pakunku.

Wiatr ucichł i nie słyszałem reszty rozmowy. Widocznie jednak inżynier nalegał, Ruby zaś ruszał tylko ramionami.

Po chwili znów doleciał do mnie urywek rozmowy.

— Tak, tak, wołał Falsten, trzeba dać znać kapitanowi, trzeba wrzucić to pudełko w morze, nie mam wcale ochoty być wysadzonym w powietrze!

— Być wysadzonym! Zerwałem się usłyszawszy to. Co znaczą te słowa inżyniera? o czem on mówi? Wszak on nie zna stanu Chancellora, nie wie o pożarze niszczącym ładunek! Ale jedno słowo, słowo przerażające: pikrat potassu kilkakrotnie powtórzone, nie pozwoliło mi wytrwać dłużej. W jednej chwili przyskoczyłem i porwawszy z całej siły Rubego za kołnierz krzyknąłem:

— Czy jest pikrat na okręcie?

— Tak, odrzekł Falsten, pudełko zawierające około trzydziestu funtów?

— Gdzie?

— Na spodzie z innemi towarami... (d.c.n.)

Z MIASTA, KRAJU I ŚWIATA.

— O przedstawieniu sztuki autora polskiego w Paryżu „L'Opinion" pisze: „Jean Sobieski, ou siége de Vienne," dramat pięcioaktowy, napisany wierszem przez hrabiego Krystyna Ostrowskiego, liczyć się będzie do najznakomitszych dzieł literackich, jakie pan Ballande (dyrektor teatru Porte-Saint-Martin) dał poznać publiczności. Dramat uwydatnia wielkiemi rysami jednę z najświetniejszych faz, rzecby można, epopei Jana Sobieskiego, króla polskiego. Autor tego dzieła rzeczywistą mające go wartość p. K. Ostrowski, wybrał jeden z głośnych epizodów oblężenia Wiednia. Nie chcemy mówić, że niektóre sytuacye podobne są do pewnych scen w tragedyach dobrze znanych; bezwątpienia, tak jest, lecz nie można zarzucić poecie plagiatu. Znalazł on zresztą w 3 akcie jednę z najpiękniejszych chwil, jakie wywrzeć wrażenie mogą w teatrze. Jakób syn Sobieskiego jest jeńcem Wezyra. Przybywa on do obozu polskiego jako parlamentarz, aby błagać o przymierze z Muzułmanem. Jeśli mu się poselstwo nie powiedzie, przysiągł wrócić do obozu nieprzyjacielskiego, aby śmierć ponieść. Jan Sobieski cofa się przed myślą poświęcenia syna. „Cóżbyś na miejscu mojem uczynił?" zapytuje go Jakób. Wtedy król nie wahając się: umrzyj! zawołał, i otrząsnąwszy się z boleści, zagrzewa dowódców do walki. „Gdy ich zwyciężym, zliczymy poległych" są słowa króla.

Wiersz bardzo udatny i pełno silnych myśli w tem dziele, które wielu zapewne doczeka się przedstawień. Ma ono wielkie zalety sceniczne. P. Ostrowski jest niezaprzeczenie autorem dramatycznym, poetą. Szlachetna ta próba uwieńczoną została zupełnem powodzeniem, niepoprzestanie on więc zapewne naniej.

— W sierpniu roku bieżącego odbędzie się w Warszawie piąty zjazd naturalistów. Do prac przygotowawczych dla tego zjazdu mianowany został w roku zeszłym komitet, zostający pod prezydencyą dziekana fakultetu lekarskiego, profesora Brodowskiego i złożony z profesorów: Aleksandrowicza, Ganina, Lewickiego, Nawrockiego, Popowa i znanego psychjatra warszawskiego, doktora Rothe. Komitet pomieniony przedstawiony został w zeszłą sobotę, przez kuratora okręgu naukowego, JW. Głównemu Naczelnikowi kraju, poczem odwiedził prezydenta miasta Warszawy, którego światły udział jest bardzo ważny przy przyjmowaniu znacznej liczby spodziewanych gości.

Spodziewać się należy, że Warszawa pójdzie za przykładem innych miast, w których odbyły się takież zjazdy i które starały się wedle możności zapewnić gościom wszelkie wygody. U nas niezbędnem jest postaranie się o mieszkania dla tych gości, z powodu bowiem swego położenia, Warszawa ściąga do siebie w lecie mnóstwo podróżnych, tak iż trudno bywa nieraz dostać numer w hotelu.

Komitet zamierza między innemi urządzić dla członków zjazdu kilka wycieczek zamiejskich, w tej liczbie do Żyrardowa, dla zwiedzenia znanej fabryki tamecznej.

— Kassa oszczędności miasta Warszawy założona na mocy Najwyższego ukazu z 13 (25) czerwca 1873 r., znajduje się obecnie pod zarządem magistratu m. Warszawy. Zadaniem kassy jest ułatwić niezamożnej klasie ludności miejskiej możności składania do kassy oszczędności, chociażby najmniejszych wkładów na procent, dla tego też kassa przyjmuje wnioski od rs. 1 do 300 rub. na jednę osobę. Tworzące się z tych wniosków kapitały, składają się do Banku Polskiego na procent $4^1/_2$ %, z których 4% rocznie przechodzi na rzecz uczestników a $^1/_2$ % idzie na koszta administracyi. Ze sprawozdania kassy oszczędności w Warszawie za 1874 r. okazuje się, że w końcu 1874 r. było 26,470 uczestników, z kapitałem 941,656 rub. 14. kop. W ciągu 1874 r. złożono w 38,554 wnioskach 381,806 rub. kop. 46 z których na nowe książeczki 5,574 wniosków, na stare—32,780. Na żądanie 7,452 uczestników, z których całkowicie ubyło 3,000 zwrócono kapitału 373,828 rub. 54 kop., z procentem wynoszącym 3,042 rub. $8^1/_2$ kop., należny zaś uczestnikom procent za 1874 rok wynosił 31,931 rub. 4 kop.

Porównywając wnioski z dwóch tych ostatnich lat, okazuje się, że w 1874 r., w porównaniu z 1873 r. złożono do kassy więcej o 31,698 rub. $75^1/_2$ kop., zwrócono zaś mniej o 5,864 rub. $56^1/_2$ kop.

OGŁOSZENIE.

APTEKA

w mieście gubernialnem, położona w najlepszej dzielnicy, jest do sprzedania zaraz. Dochód roczny wynosi brutto około 9,000 rs. Bliższa wiadomość przy ulicy Grzybowskiej Nr. 27 nowy, 2-ie piętro od frontu, nad drzwiami Nr. 6. (4—6)

SALOMEA MASŁOWSKA

Krakowskie-Przedmieście Nr. 17 (416)

wprost kościoła S-go Józefa O. N. M. P. w Warszawie.

Rekomenduje **Nauczycielki**, **Nauczycieli**, **Bony** i osoby do towarzystwa wszelkich narodowości. (2—0)

Дозволено Цензурою. Варшава 28 Января (9 Февраля) 1876 г. W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.